

Nr. 45. Rok 42.

Poznań, dnia 8 listopada 1936 r.

Cena 20 gr

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki



PODNIOSŁY DZIEŃ W POZNANIU

Święto Chrystusa Króla.

Dziesięciolecie rządów Ks. Kardynała Prymasa Dra Augusta Hlonda w najstarszych diecezjach Polski.

Archidiecezjalna Akcja Katolicka urządza wielkie uroczystości, by uczcić święto Niebieskiego Wodza Akcji Katolickiej i upamiętnić dziesięciolecie jej wodza na obszarach obu archidiecezji.

W katedrze poznańskiej uroczystym nabożeństwem, celebrowanym przez Ks. Biskupa Dymka, w obecności Ks. Kardynała Prymasa, kapituły, przedstawicieli władz, organizacji ze sztandarami i rozmówianych w swoim Prymasie wiernych złożono doroczny hołd Chrystusowi Królowi i zaniesiono modły o błogosławieństwo, siły, zdrowie i duchową moc dla jednego z Jego wodzów na ziemi na dalsze, najdłuższe lata.

Dzień Chrystusa Króla, rozpoczęty Jego ofiarą Najświętszą w Katedrze zakończył się wieczorem pełną oddania się ofiarą tysięcy serc, które olbrzymią procesją, w powodzi świateł przybyły pod Pomnik Wdzięczności i tu w pokornej modlitwie ślubowały mu wierność. Tu głośnie, ze wszystkich ust płynącym „Wierzę” zaświadczyły przed światem publicznie, w kogo wierzą i kto po zostanie ich Panem i Królem.

A w środku dnia, w pełnej uniwersyteckiej auli odbyła się uroczystość złożenia jubileuszowego hołdu Ks. Kardynałowi Prymasowi. Śpiew czołowych chórów mieszanych Poznania pod kierownictwem szambelana Nowowiejskiego a na końcu śpiew okrytego sławą,

zdobytą świeżo w Frankfurcie, Poznańskiego Chóru Katedralnego pod kierownictwem Ks. prałata Gieburowskiego, były wdzięcznym wyrazem hołdu pieśni kościelnej złożonego jej znawcy i opiekunowi nawet poza Polską na frankfurckich światowych występach.

Po hołdzie Prezesa Archidiecezjalnej Akcji Katolickiej Dra Paruszewskiego, po pełnym sile i wiary i przepięknym w słowie wykładzie prof. Dembińskiego nastąpiła chwila, która wszystkich obecnych przejęła prawdziwym wzruszeniem.

Rzędem, w wojskowej postawie ustawili się przed podwyższeniem dowódcy pułków i oddziałów DOK. VII. Na podwyższenie wszedł dowódca Okręgu Korpusu Generał Knoll-Kownacki. Wniesiono za nim ozdobną szkatułę z odznakami wszystkich oddziałów Korpusu.

— Eminencjo! — rozpoczął Generał — Mam wykonać uchwałę Korpusów Oficerskich wszystkich oddziałów O. K. VII i wręczyć Waszej Eminencji w dowód synowskiego oddania i czci odznaki honorowe tych oddziałów.

Zaznaczywszy, czym jest dla żołnierza odznaka oddziału i czym jest dla obywatela spoza oddziału, przypomniał bohaterskie postaci biskupów i księży jak: Feliński, Bandurski, Brzóska, Mackiewicz, Skorupka — zakończył:

— **My, którzy dumni jesteśmy z odziedziczonego po Ojcach tytułu Rycerstwa Chrystusowego, Tobie, Prawemu Żołnierzowi Chrystusa, nasze odznaki nadajemy.**

Niewypowiedziane naprawdę wzruszenie ogarnęło serca wszystkich, którzy byli świadkami tego hołdu żołnierskiego i słyszeli te wyrazy dumy żołnierskiej z tytułu Rycerstwa Chrystusowego. Wyrazem tego głębokiego wzruszenia i radości była burza niemilkanych oklasków, zakończona z serca wznesionym okrzykiem: Niech żyje Armia!

A potem druga wzruszająca chwila: hołd młodzieży Akademickiej — i ofiarowanie Najdostojniejszemu Jubilatowi kopii (wiernego odtworzenia) ryngrafu złożonego u stóp Jasnogórskiej Królowej w pamiętny dzień ślubowania Młodzieży Akademickiej.

Przyszedł trzeci podnoszący i jednoczący wszystko moment: podziękowanie Księdza Kardynała Prymasa za wszystkie wyrazy i objawy hołdu, złożonego Mu w szczególności przez wojsko i młodzież akademicką, która tak szczerze złożyła śluby na Jasnej Górze.

Z okazji tej rocznicy wstąpienia na stolicę prymasów Polski powiedział Ksiądz Prymas, co mu rzekł Ojciec św. przy odbieraniu podziękowania za tę nominację.

— Mianując syna ziemi śląskiej na prastary stolec biskupi pragnę dać dowód, jak bardzo mi zależy na jedności Polski, by Polska jedna była.

Nawiązując do tych znamienitych słów Ojca św. zakończył Ks. Kardynał Prymas swoje przemówienie wezwaniem:

— **Do tej jedności nawołuję, by na tym skorzystała nasza jedna, wielka, silna, bohaterska Polska.**

Ewangelia na dwudziestą trzecią niedzielę po Świątkach

zapisaną u św. Mateusza w rozdziale 9, w. 18—26.

Won czas gdy Jezus przemawiał do rzeszy, oto nadszedł jeden ze zwierzchników, oddał Mu pokłon, i rzekł: *Panie, córka moja właśnie dogorywa; — ale przyjdź, włóż na nią rękę swą, a żyć będzie. A Jezus, podniósłszy się, szedł za nim wraz z uczniami swoimi. A oto niewiasta, która od lat dwunastu cierpiała na krwotok, przystąpiła z tyłu, i dotknęła się strzępców Jego płaszcza. Bo mówiła sobie w duszy: Dość mi dotknąć tylko płaszcza Jego, a zdrowa będę. Ale Jezus odwrócił się i, spojrzawszy na nią, rzekł: Ujaj córko, wiara twoja uzdrowiła cię. — I ozdrowiała niewiasta tejże godziny. A gdy Jezus przybył do domu zwierzchnika, i ujrzał tłumistów i tłum zawodzący, odezwał się: Ustąpcie, bo nie umarła dziewczeczka, ale śpi. I wysmiewano się z niego. Gdy jednak usunięto tłum, wszedł i ujął rękę jej: — a dziewczę wstało. I poszła wieść o tym po całej onej krainie.*

NAUKA

Relikwie święte.

Nawet dla tych, coby chcieli wysilać się na argumenty przeciw czci, jaką otaczamy

relikwie święte, wystarczy uważne przeczytanie dzisiejszej Ewangelii świętej.

A cóż dopiero dla nas, którzy idziemy ku Panu Jezusowi z sercem otwartym i dobrą wolą?

...Przecież Pan Jezus ponad wszelką wątpliwość pochwała cześć relikwii i podkreśla zbawienne korzyści tej czci, gdy niewieście, utrapionej dwanaście lat trwającą dolegliwością, przywraca zdrowie, gdy tylko z wiarą i ufnością dotknęła się Jego szaty, relikwii przecież... I niedwuznacznie zachęca i tę niewiastę i wszystkich obecnych wówczas, by z ufnością dotykali się relikwii, jeśli chcą doznać szczególniejszych łask.

Ludzie współcześni t. zw. „postępowi”, mają jeno „wzruszenie ramion”, gdy chodzi o cześć świętych relikwii.

A jednak i oni czczą i to publicznie... relikwie.

Stają w pobożnym skupieniu przed grobem „nieznanego żołnierza”. I nikt poważny i uczciwy nie może mieć — ani na chwilę — zastrzeżenia przeciw temu swego rodzaju kultowi czci relikwii.

Ale — współczesny człowiek potrafi nawet zapalić się do kultu relikwii... partynej. Gdy w r. 1919 został zamordowany w Monachium rewolucjonista, niejaki Eisner, kobiety całowały ziemię zroszoną jego krwią i miejsce jego śmierci zasypały kwiatami.

Tak...

Tylko — cześć dla krwi, narzędzi męki bohaterskiej i przedmiotów, używanych przez Świętych Kościoła naszego, nie podobą się naszym różnym „postępowcom”.

Gdyby zadali sobie trochę trudu i przeczli dzieje naszej wiary, przekonaliby się, że od pierwszych czasów chrześcijaństwa istniał kult świętych relikwii, że n. p. kości św. Ignacego, biskupa Antiochii, który zmarł śmiercią męczeńską w r. 107-ym, zostały sprowadzone do Antiochii i przechowane jako skarb cenny, że tak uczyniono również z ciałem św. Polikarpa († 156), biskupa-męczennika ze Smyrny i t. d., i t. d.

Jesteśmy dziećmi wielkiej i czcigodnej tradycji kultu relikwii świętych. Odnówmy tę tradycję, zaniedbaną może — aż nadto!

O. Henryk.

BOHATERZY

Obraz skreślony przez naocznego

ALKAZARU

świadka barona Jana Jerzego Studnica



Mamy jeszcze w oczach ostatnią wojnę.

Wielu z nas ją przeżyło, wiemy więc doskonale, że nie potrzeba dopiero dużo słów, by należycie opisywać bohaterstwo milionów żołnierzy.

Minęła wojna, odetchnęliśmy. Już nas oddziela na szczęście od niej prawie druga dziesiątka lat.

Największe wydarzenia na przetrzeni ostatnich lat osiemnastu

W całym tym czasie po roku 1918 nie było zdarzenia, nie było tragedii w świecie, któraby nami tak wstrząsnęła, jak nas wzruszyła w ostatnich dniach do głębi wieść, że Alkazar jest wolny.

Dwa długie miesiące, od 21 lipca do 28 września, gazety całego świata pisały o oblężeniu twierdzy Alkazaru i o jej bohaterskiej obronie. Przez długie tygodnie czerwona stacja radiowa w Madrycie głosiła niezmiennie, że Alkazar już lada dzień, lada godzina padnie. Przez 6 tygodni komunikaty czerwonego rządu nazywały bohaterską twierdzę jedną ruiną, siosem gruzów ogarniętych przez płomień, w których spośród 1200 osób miało jakoby żyć zaledwie tylko 80!

Nie chcieliśmy w to wierzyć! Dusza nasza broniła się przeciw takiej możliwości. Rozumieliśmy, że Alkazar, ta dumna twierdza, aczkolwiek w ruinach, jednak musi doczekać się oswojonych! Bo czuliśmy i w całej pełni zdawali sobie w duszy sprawę, że od tego, czy ruiny te zdołają się jeszcze bronić dłużej, czy też ostatecznie opalone zostaną przez czerwonych, od tej napozór drobnej okoliczności, zależy los nie tylko Hiszpanii, ale całej zachodniej Europy.

A jednak, wbrew lepszej nadziei w sercu, bodaj czy znalazłby się na całym świecie pod koniec tych strasznych tygodni choćby tuzin ludzi, którzy śmieliby twierdzić, że ruina Alkazaru jednak

będzie mocniejsza od armat, benzyny i dynamitu.

Jedno było pewne, że bolszewicy swoje zwycięstwo w Toledo obchodzić będą tak, jak obchodzili je w Rosji. Jasne było, że nikt nie ocalaje spośród tych, którzy z życiem wyjdą z podziemi Alkazaru.

Nieprawdę powiedział stary Fryc, że Bóg zwycięstwo daje tylko najmocniejszym batalionom

Stało się bowiem inaczej. Mała, mizerna, nędzna garstka — 1100 mężczyzn, 520 kobiet i 50 dzieci dało przykład tak niezrównanego bohaterstwa, że to, co świat zna do tychczas, niknie wobec Alkazaru. Okazało się, że w oczach Boga najsilniejszymi są nie bataliony uzbrojone od stóp do głów w najnowocześniejszą broń, ale te, których żołnierze mają w sobie większą wartość ducha i większym, wyższym służą ideałom.

Co ci ludzie nie przecierpieli, czego nie przetrwali! Można to zrozumieć dopiero wtedy, gdy samemu się wejdzie w

obręb tych ruin i stąpa się po gruzach tej świętej twierdzy, która przetrwała wiekowe burze i zawieruchy.

Alkazar — zamek leżący na wzgórzu i panujący nad miastem — jest dziś ruiną. Z murów jego nie ostał się kamień na kamieniu, nie ostała się choćby jeszcze całutka ściana. Przez zamek ten przeszło jakby wielkie trzęsienie ziemi.



Od góry: Na najwyższym wzniesieniu zbombardowanej twierdzy Alkazaru dumnie powiewa satandar narodowej, katolickiej Hiszpanii.

W środku: Dobry przykład wszystko może. Pulkownik Moskrado, bohaterski obrońca i komendant Alkazaru awansowany na generała. Kiedy młodzieńki jego syn, nie mający dwudziestu lat, wpadł w ręce rządowców, zażądali od komendanta poddania twierdzy, grożąc rozstrzelaniem syna. Ojciec odrzucił propozycję. Zmuszono syna, aby do ojca telefonował. Odpowiedź ojca brzmiała krótko: — MUSISZ UMRZEĆ ZA OJCZYZNĘ. PRZYJMIJ KOMUNIE ŚW. I IDŹ ODWAŻNIE NA ŚMIERĆ! I syna rozstrzelano.

Po prawej: Żołnierz z pułku Mucilla rusza do szturmu, by oswojzić Alkazar. Fot. Associated Press



Patrzac na to rumowisko, w jakie obróciła się ta siedziba najpiękniejszych tradycji tego rycerskiego narodu, człowiek bezsilnie się broni wobec zawstydzenia i przygnębienia, wywołanego myślą, że zniszczenia tego dokonana ręka ludzka, ręka bratnia!

Widać tylko jedno zwalisko, 100 metrów długie, 600 metrów szerokie, pełne poszarpanych murów, opalonych belek, setek strzaskanych kolumn, zniszczonych pomników, pogiętego lub połamanego żelazniwa. Aż trudno uwierzyć, że niedawno, bo zaledwie przed 2 miesiącami stał tu pyszny pałac-zabytek, który rokrocznie ściągął z całego świata dziesiątki tysięcy turystów.

Przez 70 dni trwała walka z piekłem

Przyszedł lipiec 1936 roku. Wtedy to z rozkazu „praworządowego” rządu w Madrycie zaczęto bombardować twierdzę. Trwało to 70 dni bez przerwy! W tym czasie padło na Alkazar jedenaście tysięcy osiemset pocisków armatnich, kalibru 15,5, 10,7 i 7,5 centymetrów. Oblegający twierdzę bolszewicy (a było ich 11 tysięcy) rzucili 1500 ręcznych granatów, założyli 2500 bomb dynamitowych, a podczas 8 bezskutecznych szturmów rzucili 200 butelek z szybkopalnymi esencjami na podwórzec zamkowy. W tych dwóch miesiącach grozy przeżył Alkazar 30 ataków lotniczych; rządowi lotnicy zrzucili podczas tych ataków 500 bomb i 35 zbiorników benzyny. Nie dosyć na tym. Czerwoni za wszelką cenę postanowili wgrzyźć się w fundamenty twierdzy, którym rady dać nie mógł ogień artylerii. Wykuli tedy w skałę 4 podziemne ganki, 4 korytarze, dwa większe, dwa mniejsze, prowadzące z miasta Toledo aż pod sam Alkazar, aż pod owe baszty, tak mężnie bronione przez grupę patriotów; założyli potwornie wielkie miny i zapalili. Nastąpił wybuch, który wydarł ze skały całe fury kamieni — Alkazar jednak nie poddał się.

Wreszcie w niedzielę 27 września nadeszła odsiecz gen. Franko. W dniu tym kompania jego wojska zajęła przedmieścia Toledo. Oddziałem wojsk po-

wstańczych, który pierwszy wkroczył do miasta, dowodził major Murillo, z pochodzenia Arab, ten sam, który na ziejając ogniem armatę rzucił się w szaleńczym ataku z gołym bagnietem w ręce. Lecz jeszcze przez cały ten dzień 27 września i następny toczyły się walki na ulicach miasta Toledo. Dopiero drugiego dnia o godzinie 7-ej wieczorem powstańcy zdobywszy miasto Toledo zdołali nawiązać pierwszą łączność z bohaterami zamkniętymi w twierdzy. Alkazar był wolny!

Ludzie o ziemistej cerze i zwłoki o podziurawionych głowach — wskazują nam drogę do Alkazaru

We wtorek przed południem, dnia 29 września otrzymuję, jako dziennikarz, pozwolenie udania się do Alkazaru. Jedziemy szosą Makeda — Torrijos — Toledo.

Przy wejściu do miasta Toledo leżą pierwsze trupy. Głowy wszystkich przestrzelone kulami rewolwerowymi wielkiego kalibru, wykazują otwory wielkości kurzego jaja. Ale nie zatrzymujemy się tu długo. Idziemy dalej, by bliżej podejść do warowni Alkazaru.

peruki aniżeli do naturalnego owłosienia. Przemyka się mała dziewczynka. Znowu ta sama ziemista cera, a w oczach jej, w tych ocienionych długimi rzęsami oczach, czai się lęk, nie spotykany dotąd nigdy u dziecka. Cóż to za cera! Gdzie ją widziałem? Ach prawda, u tych poległych na samym wstępie do miasta.

Cóż to za ludzie? Cóż to za dzieci!



Obrońcy Alkazaru „oklaskują swoich wybawców”... Gen. Franko (X), Pulk. Moskrado (XX). Scherl.

Bruk ulicy pławi się we krwi. Między trupami biegają dzieci, obładowane ciężkimi węzełkami. Ich twarze mają dziwny, ziemisty kolor cery. Tu i owdzie stoją gromadki żołnierzy. Spragnieni piją długimi łykami mleko; na twarzach ich osiadła bladeść szkieletów, a dokoła wystających kości policzkowych wiją się splecione kosmyki ciemnego, jakoby mocno zabrudzonego zarostu. Włosy podobniejsze do martwej

70 dni w piekle Alkazaru. Mężna obrończyni schodzi z Alkazaru do miasta Toledo, by odszukać ognisko domowe. W rękę trzyma bochenek chleba, darowany jej przez żołnierzy gen. Franko. Na twarzy maluje się obawa, czy dom jej jeszcze cały, nieuszkodzony.

To ci, którzy na pierwszą wieść o tym, że nasi zajęli Toledo, opuścili więzienie, w którym dobrowolnie się zamknęli, opuścili Alkazar, by zejść do miasta, by

odszukać własne mieszkanie, by zobaczyć własne domowisko. Lecz domy spalone, trzeba wracać do ziemnych, skalnych podziemi Alkazaru...

Idziemy tedy za nimi... Po drodze napotykamy gmach szkolny, a przy nim podwórze. Tam na podwórzu szkolnym leży przeszło stu pomordowanych, których razem skrępowano jednym powrozem. Obydwa końce powroza przymocowano do dwóch pni topolo-

wych. Jest to ostatecznie dzieło zbrodniczych bolszewików w Toledo. Gdy zawiodły wszystkie nadzieje opanowania Alkazaru, pomordowali jeszcze tę gromadę ludzi bezbronych. Długo stoimy tu nie mogąc oczów oderwać od tego podwórza szkolnego.

W ciągu dwóch miesięcy ogółem 785 ofiar, do których doliczyć jednakże osobno trzeba 83 zabitych, 57 zaginionych i 430 rannych z Alkazaru.

Agencje bolszewickie kłamią: nie paniczykowie arystokratyczni, lecz dzielne chłopcy z ludu

Jesteśmy teraz na ruinach starej twierdzy Alkazaru. Trzeba ostrożnie stawiać kroki. Droga wiedzie między zwłokami ludzkimi i trupami mułów, wśród ułamków granatów, pomiędzy niewypalami i bombami lotniczymi, które dziwnym trafem nie wybuchły. Leżą ich całe setki wśród kamieni i rumowiska. Dochodzimy do głównego dziedzińca. Sterczy tu jeszcze kilka kolumn, ponad którymi wznosi się podwójny cesarski orzeł Karola V. Wykuty na zwalonym obecnie pomniku, na którym odczytać można napis w języku hiszpańskim: „Umrzeć albo wrócić jako zwycięzca!” — hasło oblężonych w Alkazarze kadetów.

Obrońcy Alkazaru, cywilni i wojskowi, oczekują generała Franco, który ma do nich przemówić. Prawie wszyscy z nich noszą mundury żandarmerii hiszpańskiej „Guardia Civile”, czyli cywilnej gwardii Toledo. Widać po nich, że to nie rozpierzczone paniczyki pochodzenia arystokratycznego, za jakich przedstawić ich chciała ogólnościowa propaganda bolszewicka, lecz dzielne chłopcy z ludu, którzy nie pozwolili się obalamucić, którzy cenili ojczyznę ponad obietniki bolszewickie i natychmiast bez wahania stanęli po stronie generałów Franco i Mola.

Pierwsze trzy dni przetrwali, w sile 800 chłopca, wraz z swoimi rodzinami w szpitalu de Sangre, starym, średniowiecznym budynku klasztornym, położonym poza miastem i conajmniej tak warowanym jak Alkazar.

Ponieważ nie było tam dość środków żywności, uczynili gwardziści po trzech dniach wypad i po bohaterskim przebiegu się wraz z kobietami i dziećmi, pod chłostą ognia czerwonych dotarli, stracivszy 19 ofiar, do Alkazaru. Tu stali się główną siłą obroną zamkniętych tu z zamiarem nieugiętego oporu uchodźców.

Dobry przykład wszystko może. Najwyższe ordery państwa dla najpospolitszych mundurów. Dwaj główni bohaterowie

Teraz oczekują swoich wybawców. Stoją w ordynku wojskowym. Wśród nich dwóch oficerów pułkownik Moskrado i major Mendez. Tych dwóch nazwisk nie zapomnimy do końca życia. Moskrado i Mendez, dwaj oficerowie tworzący sztab Alkazaru. Oni to w dwójkę zorganizowali całą obronę Alkazaru! Oni wciągu tych 70 dni byli wzorem i przykładem dla owych 800 chłopca gwardii cywilnej, dla 700 dzieci, niewiast i starców zamkniętych w Alkazarze.

Słychać odgłos żołnierskich kroków. Widać turbany, charakterystyczne okrycia głowy żołnierzy generała Franco. Oto i on sam.

Chwila, w której Franco porwał w objęcia pułkownika Moskrado i majora Mendez'a staje się najbardziej wzruszającą chwilą po przeżytych cierpieniach i wstrząsach. 800 mężczyzn,



PRZED

Tak wyglądało w Alkazarze przedtem!

W niedzielę ustawiali się na pięknym arkadowym podwórzu kadeci, z czapką w rękę, by uczestniczyć w nabożeństwie. Na froncie pomnik z napisem: Albo wrócić zwycięzcą, albo umrzeć. Na dole ten sam dziedzińiec.

Fot. Hielscher

k którzy w ciągu 70 dni stawiali bohaterski opór nawale nieprzyjaciół, płacze jak dzieci. Wzruszenie porywa i gen. Franco; on także płacze. Ktoś wznosi okrzyk: „Niech żyje Hiszpania!” i 1500 głosów podchwytuje ten porywający okrzyk.

Gen. Franco, w towarzystwie Moskrado i Mendez'a, na czele legionistów, udaje się na przegląd twierdzy. W przemówieniu swoim oznajmił, że każdy, bez wyjątku, obrońca Alkazaru zdobył prawo do orderu krzyża San Fernando, najwyższego hiszpańskiego odznaczenia, owej największej ozdoby udzielanej od czasów Kolumba tylko najwybitniejszym mężom w kraju.

Widać jakby zakłopotanie na twarzach tych dzielnych żołnierzy. Nikt czynom własnym takiej nie przypisuje wartości. Serce, które tyle przeżywało, nigdy nie spodziewało się takiej nagrody. Są wzruszająco skromni, wzruszająco niewymagający ci bohaterowie Alkazaru. „Przecież uczyniliśmy tylko to, co było możliwe i co było naszą powinnością” — mówią dzielni obrońcy.

PO



Na lewo: Dochodzimy do głównego dziedzińca. Scherl

„Mężną niewiastę któż mi wskaże?” Bohaterowie Alkazaru nie mają słów dla mężnej postawy niewiast

Zaczyna się opowiadanie o przebytych dniach trudu i męczarni. Pożywienie stanowił rano kubek gorącego odwaru ze zboża, w południe zaś obiad, złożony z mięsa koni lub mułów, z dodatkiem chleba, pieczonego z owsa na końskim tłuszczu. Te 97 koni i 27 mułów uratowały obrońcom Alkazaru życie. Dziennie zabijano 4 konie. Jednego tylko konia zachowano do ostatka. Był to słynny z licznych wyścigów wierzchowiec. Z końskiego tłuszczu sporządzano również świece. Było zboże, lecz nie było mąki. Owies, który znajdował się w magazynach w dość znacznej ilości, rozcierano na mąkę. Ponieważ nie było młyna, rozcierano ziarno stemplami kamiennymi w metalowych łuskach armatnich.

Raz jeden tylko zdołał samolot zrzucić żywność do obleganej twierdzy. Drugi samolot zrzucił gazety, odezwy i zachętę generała Franko, by mężnie wytrwać i czekać oswobodzenia. Gdy 22 sierpnia pierwszy samolot ukazał się nad twierdzą, sądzili wszyscy, że nadeszła godzina ostatnia. Tak wielki był hałas i grzmot motorów w tych kamiennych zabudowaniach. Wody do mycia wogóle nie było. Cud, że nie powstały zaraźliwe epidemie. Bolesnie odczuwano brak kapłana! Trzy butelki z chloroformem służyły jedynie do bardzo ciężkich operacji. Mniejsze amputacje załatwiono oczywiście bez uspienia.

Dzielnie, bohatersko trwały na posterunku niewiasty.

Gdy poseł chilijski w Madrycie próbował nakłonić obrońców do wypuszczenia z Alkazaru kobiet i dzieci, urządziły kobiety głosowanie i prawie jednogłośnie postanowiły pozostać. I mężnie dotrwały wraz z mężami, ojcami i braćmi.

Prawie wszyscy obrońcy stwierdzają, że najgroźniejszą bronią oblegających były podkładane pod twierdzę miny. Tygodniami całymi przysłuchiowano się postępowi robót w podkopach. „Były to szmery straszne, podkopujące okropnie równowagę ducha, wywołujące uczucia podobne do tych, których zażywamy u dentysty na krześle operacyjnym w czasie wiercenia zębów... — tłumaczy siedemnastoletni obrońca Alkazaru. — Oczekiwaliśmy każdej chwili końca. To że żyjemy, zawdzięczamy tylko doświadczeniu jednego z przebywających w naszym gronie inżynierów, który przed każdym wybuchem miny dokładnie nas pouczał, kiedy i dokąd mamy się chronić. Trzech tylko z nas, którzy z własnej nieostrożności nie posłuchali rad, znalazło śmierć w chwili wybuchu, który rozsyłał twierdzę, jak domek z kart.”

Rok ma 365 dni

Alkazar oblegano aż do ostatniej chwili. Z bezprzykładną zawziętością usiłowali czerwoni dostać twierdzę w swe ręce. Jeszcze na godzinę przed swoim wycofaniem się próbowali czerwoni nakłonić obrońców do opuszcze-

nia murów z podniesionymi rękoma i do poddania się. Jeden z bolszewików krzyczał w kierunku twierdzy:

„Czy chcecie cały rok tam u góry wytrwać?” Na to mu odpowiedział jeden z gwardzistów:

„Rok ma 365 dni, a my jesteśmy tu dopiero 69”

Major Mendez stwierdził, że jeden dzień nagrodził obrońców za wszystkie cierpienia. Był to dzień 27 września, gdy wreszcie z góry ruin zamkowych było można spostrzec pierwsze turbany przed murami Toledo, co znaczyło że nadeszli wreszcie „nasi”. Ale nawet i w tym dniu, rano jeszcze ostrzeliwali czerwoni twierdzę, jeszcze tego dnia spowodowali wybuch jednej miny i o godz. wpół do siódmej rano przypuścili jeszcze jeden szturm.

Sceny, które rozgrywały się w chwili, gdy żołnierze gen. Franko zostali wpuszczeni przez jedyną nie zniszczoną bramę od strony północy, nie dadzą się słowami opisać. Wszyscy utonęli w morzu łez, objęć, śmiechu i uścisków dłoni.

Major Mendez podaje mi — pisze nasz sprawozdawca, naoczny świadek tej chwili — kawałek chleba, który jedli obrońcy Alkazaru. Nie można wprost pojąć, że ludzie jedli go przez dwa miesiące. Jakaś twarda jak kamień, zjeżdżała masa, której by pies chyba nie żarł. Ktoś inny pokazuje mi dzienniczek.

Bohaterowie Alkazaru zwolna opuszczają ruiny twierdzy. Mężczyźni zaledwie zdążyli najeść się do syta, a już proszą o pozwolenie pójścia do boju pod Madryt.

Twarc generała dziwnie drga...

Generał Franco opuszcza Alkazar. Po obydwu stronach sklepionego korytarza, którym kroczy Franko i pułkownik Moskrado ze swiąt, leżą na materacach ranni. Jest zupełnie ciemno, tylko przez otwór w suficie, wybity bomba

lotniczą, wpada promień światła. Jednakże oczy tych ludzi przywykły do ciemności, jak oczy nocnych zwierząt. W ciemności więc poznają oswobodziciela. Poruszają się obandażowane głowy i ręce. Ranni próbują powstać ze swych legowisk, by uczcić generała niemyim powitaniem — mówić bowiem z osłabienia nie mogą. Generał przystępuje do każdego z nich i ścisną mu rękę.

Gdy potem wychodzimy na światło słoneczne, twarz generała dziwnie drga ze wzruszenia.

Po gruzach ulic, otaczających Alkazar, idziemy w kierunku katedry. Pułkownik Moskrado idzie obok generała. Twarz jego wydaje się w blasku słonecznym szara i przejrzysta jak wosk. Mimo, że jest jeszcze w sile wieku, robi wrażenie starca, gdy kroczy obok generała Franko. Oto czego dokonały dwa miesiące takiej zaciętej obrony...

(Dokończenie na str. 734)



Pod murami Alkazaru po 70 dniach ognia huraganowego

O. O. CYSTERSI W MOGILE

Bracia Pietrek i Szymek deptali glinę, deptali a precz nie wiedzieli na co. Zwieziono jej na podwórze dzieśięć fur i jeszcze zwożono bez przerwy. Garnarczami ojcowie Cystersi chcą zostać, czy jak? I na cóż taka moc garnków? Cały świat by ich tyle nie wy potrzebował! Ciągniono glinę wołami w ciężkich skrzyniach na pełnych kołach osadzonych z daleka, aż zza Bięczyca. Sam ojciec Inocenty chodził wprzód po okolicy opatrywać gdzie najlepsza. Szukał, przebierał, nareszcie znalazł. Żółta, tłusta, dobra glina. Zaraz ją też zwozić przykazał. Pośrodku placu, na dziedzińcu przeznaczonym, zwalono ją na kupę, obłożono wałem z kamieni, dopieroż zaczęto wodę konwiami lać i deptać. Deptało ich razem bracia konwersów szesćciu. Pietrek i Szymek, Machno i Pliszka, Dudek i Skorek. Oparłszy sobie wzajemnie ręce na ramionach, podnosili miarowo i opuszczali stopy. Lepka glina obklejała nogi, wydając przy wyciąganiu charakterystyczny głos niby znudzone ziewnięcie. Sama też pewno nie wiedziała, co z nią będą czynić.

Depcząc bez przerwy, bo wszędzie obecny ojciec Artemiusz nie znoził by ustawano w pracy, bracia spoglądali w stronę, gdzie ojciec Inocenty z pomocą ojca Hiacynta brali już wyrobioną glinę łopata, kładli na wąskie deszczułki, uklepywali dłońmi w równe płaskie kostki, mniejszą deszczką wyrównywali boki i gotową kostkę odkładali na równą szychtę dla przesuszenia. Całkiem jak się to robi z garnkami. Ale garnek jest garnek, a te kostki na co?

Nie mogli pogadywać o tym, gdyż twarda reguła narzucała im ciągle milczenie, lecz nie przestawali myśleć. Nie o tym jednym. Uczone cudzoziemskie mnichy czyniły tu wiele rzeczy dziwnych nad pojęcie. Naprzykład słyszał li kto o tym, by sadzono drzewa? Jakby mało było tych, które sam Pan Bóg posiał, jakby ich nie trzeba było ustawnie karczować? Oni zaś sadzili. Pokraczne płonki, rodzące cierpko-gorzkie, małe, twarde jabłuszka, wykopywali starannie i sadzili równymi rzędami na świeżo wykarczowanej nowinie. Pod każde drzewko kopali dół, zaprawiali suto mierzwą, posadziwszy udeptywali wkoło, podlewali, do kółków obok wbitych wiazali... Cudeńka!.. Gdy drzewko się przyjęło, ojciec Inocenty obcinał gałązki, ciał nożem korę, w nacięcia wkładał patyczki przez umyślnego posłańca z Schulportu w Saksonji przywiezione, w wilgotnym mchu trzymane, maścią smarował, szmatami owijał, krzyżem św. żegnał i szedł do następnej drzewiny. Braciom aż oczy wylazły ze zdumienia. Tacy po bożni ojcowie i sprawują czary!.. Wiadomo przecież, że przez zawieszenie szmat można przenieść chorobę z człowieka na drzewo... Ale k'o był chory i po co sadzić drzewa miał wybrać którekolwiek w lesie rosnące?

Pietrek z Szymkiem tak się zamysłili, że aż przestali deptać, co surowy ojciec Artemiusz spostrzegł natychmiast.

— Nie wstydno wam gapić się próżnujący? — ofuknął ich gniewnie. — Wiesz li, marny człeczko, ile jeszcze czasu przed tobą?... Może tej nocy już na was zawołają? Wieczność, sroga wieczność przed wami, a wystarczyć na nią musi dorobek z tego mizernego żywota zebrany...

Ojciec Artemiusz zawsze tak górnienie i uczenie przemawiał. Aż ścierpli. Zdało im się, jakby swymi słowami wróżył rychły zgon. Ze zdwojoną gorliwością, spuszczać oczy, ze skrucą deptali glinę, która mlaskała, cmokała, przeciskała się przez palce.

— Ma już dość, — zawyrokował ojciec Artemiusz po chwili. — Wy czterej chodźcie pomagać mi przy drzewach, a Szymko z Piotrkim niech idą obaczyć, czy wozy z gliną nie ugrzęzły w wąwozie, bo coś ich długo nie widać...

Niezmiernie zadowoleni obaj bracia wyskoczyli z glinianej papki, oskrobali co nieco nogi, opuścili podciągnięte do góry habit i poszli rażno przez świeżo karczowane palenisko czyli łązy ku ciemniejszemu borowi. Niedaleko skraju lasu był wąwóz gliniasty, w którym nieraz lgnęły wozy i trzeba było po drugiej, czasem trzeciej parze wołów doprzęgać albo własnymi ramionami dźwigać.

Lecz teraz wąwóz był pusty. Coś innego musiało zatrzymać jadących. Bracia spojrzeli na siebie, wrzucyli

ramionami, pokiwali wahająco głowami. Wracać? Iść dalej? Gdy tak stali, patrząc w bezlistną jeszcze gęstwinę, dosłyszeli z daleka krzyk czy płacz, cienki dziecięcy. Znowu spojrzeli na siebie i ruszyli na ten głos. Reguła nie pozwalała mówić, ale nakazywała pomagać ludziom ile razy sposobność się zdarzy. Niedługo naszli pastuszkę całkiem jeszcze małą, w owczą skórę okutaną, zawodzącą w niebogłosy. Na widok szaroczarnych habitów rzuciła się ku nim.

— Oj, miłosierni ojcowie — szlochała — wilk mi owce pognał... Pewnikiem już wszystkie pożarł... Oj retal! retal!

— Nie piskaj, dziewczuszko, a pokaż, w którą pognał stronę? — rzekł Pietrek i roześmiał się głośno, tak lubo zdało mu się słyszeć własny głos. A mógł gadać bez grzechu, bo twarda reguła milczenia czyniła wyjątek, gdy się kto zbłąkany o drogę pytał lub wogóle o pomoc prosił.

— Tak, tak, w którą pognał stronę? — zawtórował Szymko.

Pokazała brunatną brudną piastką, patrząc na nich z niepokojem. Nie rozumiała dlaczego się śmiali. Oni puścili się biegiem. Pietrek ułamał po drodze tęgiego dąbczaka, Szymek podniósł spory kamień. Na wilka zawdy lepiej mieć coś w garści.

— Tam, tam, pewnikiem już zeżarł... — powtarzała płacząco mała, nadążając za nimi co sił.

Nie zeżarł jednak. Niedługo znale-



Zakonnicy: Utrzymywali szkoły, w których uczyli sztuki pisania i czytania. Karczowali lasy i na uzyskanej w ten sposób ziemi uczyli lepszej uprawy roli, z płonów żywili okoliczną biedotę. Wszelka kultura, jak ogrodnictwo, budownictwo i wszelkiego rodzaju rzemiosło docierały dopiero przez zakonników do ówczesnych barbarzyńskich jeszcze krajów. W klasztorze znajdowały się: dla podróżnego hotel, dla chorego szpital i lekarz, dla bezbronnego przytułek i schronienie. Obraz dlatego jest bardzo dobry, bo wyraża całokształt kultury zakonnej. Jest na nim nawet ów, dla cywilizacji całego świata tak ważny, przepisywacz ksiąg, zapisujący w długoletniej pracy, mozolną sztuką pisarską, kartę po karcie swojej książki.

zli stado, zestrachane, stłoczone podle wielkiego wykrotu. Wilk dwie tylko owce zadławił, z tego jedną zostawił, drugą poniósł gdzieś w chaszczę.

Z niemałym trudem udało się braciom popędzić spłoszone stado. Zawracały co chwila ogłupiałe. Pietrek poganiał je kijem, Szymek dźwigał na plecach owcę zarżniętą przez wilka. Nareszcie doprowadzili do gościńca, tam w pełnym bezpieczeństwie poniechali małą i jej dobytek, sami śpiesznie zawracając do domu.

Ojciec Artemiusz czekał na nich groźnie namarszczony.

— Gdzieście łazęgowali? — zapytał.

Pytanie przełożonego zwalniało również z milczenia, przeto obaj bracia jęli skwapliwie opowiadać o przyczynie opóźnienia.

— Dość, dość — przerwał, podnosząc rękę surowo. — Po co tyle próżnych słów? Okazaliście bliźniemu pomoc? Dobrze. A nie gadałicie bez potrzeby?

— Nie — odoarli równocześnie. — Spytałim jeno, w którą stronę wilk owce pognał.

— Ja jeszcze powiedziałem, coby nie płakała i roześmiałem się — wyznał ze skruchą Pietrek, drapiąc się w głowę.

Ojciec Artemiusz machnął wybacząco ręką, posłał ich do roboty, sam

zaś odszedł żywo ku zabudowaniom. Miał ważne sprawy na głowie. W międzyczasie zjechał niespodzianie do Mogiły biskup krakowski, Iwo z Odrowążów. On to przed rokiem sprowadził tu z Morimundu zakon Cystersów, nadając mu na wieczne czasy Mogiłę, pięć wsi okolicznych, spory szmat borów i prawo łowienia bobrów na rzece Dłubni. Takiego gościa należało godnie przyjąć i tym właśnie zająć się miał ojciec Artemiusz.

Biskup Iwo Odrowąż był wzrostu wysokiego, o mądrej smagłej twarzy. Zaledwie zeskoczył z konia i zmówił pacierze w ciasnej, tymczasowej kaplicy, szedł w obejście oglądać, co już zbudowano. A zbudowano niemało. Budynek klasztorny z dormitarzem (sypialnia) i refektarzem (sala posiłków), dwa młyny, tkalnię i piękny folwark czyli grangię.

— Przeważaliśmy Mogiłę Clara Tumba — objaśniał towarzyszący biskupowi opat Piotr, z Lubiąża na Śląsku przybyły — na pamiątkę Clara Vallis, gdzie założyciel nasz św. Bernard najchętniej przebywał... Racz spojrzeć, Wasza Dostojność: tu na prawo, gdzie rowy pckopane, stanie kościół... Wyniosły, piękny... Zagóruje nad okolicą, a Clara Tumba zabłyśnie nad całym krajem...

— Daj Boże... A rychło go ukończycie?...

— Będziem się śpieszyć, by do dziesięciu lat skończyć.

— Kamienia jeszcze nie macie nawiezonego?

— Tyle, co na fundamenta trzeba, mamy. Ściany zaś i sklepienia murowane będą z cegły, którą tu oto przygotowujemy już do wypalania.

— Z cegły? — wykrzyknął biskup. — Wiem ja, że w Niemczech najwięcej takich stawiają... W Strzelnie też kościół ceglany

wasz zakon postawił... Zali to jednak rozrocznie? Zawszy kamień na kościół sposobniejsz... Kamień jest kamień i ma swoją moc, cóż zaś cegła? Gлина, co się od deszczu rozmyje?

— Nie rozmyje — zapewnił opat, uśmiechając się nieznacznie — w Bizancjum są budowle z cegły od tysiąca lat trwające... Mur cegla-

ny czym starszy tym krzepciejszy się staje. Ciepleszy zaś jest, lżejszy, w budowaniu zręczniejszy i do obróbki łatwiejszy...

— Ano budujcie, jak rozumiecie... A tamte domostwa to co?

— To nad rzeką to jest młyn z kołem wodą obracany. Przez jeden dzień zmiele więcej ziarna niżby go starto na dniesięciu żarnach, a do obsługi potrzebuje jednego pacholka... Dalej jest blech, tkalnia i niemocnica dla chorych. Za domami na stoku założyliśmy, jak widzisz Wasza Dostojność, ogród albo sad... W wirydarzu (ogrodzie) przy klasztoru siejemy warzywa przywiezione z Francji, lepsze, posilniejsze od bobu i rzepy. Tu zaśie sadzimy drzewa. Drzewiny zaszczepione szlachetnymi odmianami jabłoni, będą za parę lat rodzić w miejsce gorzkich płonek wielkie, słodkie owoce... Tam winnica...

— Benedyktyni w Tyńcu też mają winnicę, — zauważył biskup.

— Bo pewnie! Tu grunt jest dla winy dobry i słońce dostateczne... I sad i winnice chcemy rozszerzyć i ludzi przyuczyć do ogrodnictwa... Za sadami są stawy... Groblę sypalim całą zeszłą jesień... Ninie już się woda trzyma i ryby do niej puscilim.

— A tamten mały budynek koło klasztoru?

— To cele dla przepisywaczy ksiąg, iluminatorów...

— Dlaboga! Myślałem że wam księgi obce, że jeno hodowlą bawicie się i uprawą?...

— Nie — odparł opat z uśmiechem — wiedza rzecz święta i nie lża jej zaniedbywać... Nie oddajem się jej tak wyłącznie jak Benedyktyni, to prawda. Święty Robert z Szampani, św. Bernard z Clairvaux orzekli, że benedyktyńska uczoneść, benedyktyńska świętość nie są dobre, gdyż wiszą jakoby w powietrzu, małą przynosząc korzyść okolicznej ludności. I dlatego nam narzucili prawo ustawicznego znoju, przykazując zagarniać jak najwięcej ludzi i tych ludzi uczyć jak pracę rąk uczynić wdzięczną i wydatną. Dopieroż gdy się własnym wysiłkiem polepszy ich dola, damy im do ręki książkę... Na razie starczy, gdy się przeżegnać potrafią i Pozdrowienie Anielskie bez omyłki powtórzyć. Ale ojciec Artemiusz pogłąda ku nam... Racz, Wasza Dostojność, przejść do refektarza na positek... Skromny on wielce, takiego gościa niedogodny, lecz reguła broni nam pożywania mięsa, wino zaś dajemy tylko chorym...

— Nie dbam o wino — zapewnił biskup przystając na wzgórze. Byстрыm okiem objął rozłożone wokół budynki, sad, winnice, równo wyciągnięte groble obrzeżające lśniące zwierciadła stawów, starannie uprawne pola, świeże karczowiska panujące tu do niedawna puszczy.

— Dziw, jak wiele zdziałaliście — przyznał z uznaniem — aż trudno uwierzyć, że to w jeden rok... Więcej takich klasztorów jak wasz, a przemieniłby się, wzbogacił kraj...

— Da Bóg, przemienimy go i wzbogacimy — zapewnił opat Piotr Ślązak z powagą. *Zofja Kossak-Szczucka*



Piękny obrazek br. Notkera: Opat-Budowniczy, z zakonu Benedyktynów. VI stulecie.

Polska na Międzynarodowym Kongresie Nowoczesnej Muzyki Kościelnej we Frankfurcie n. Menem

w swoim rodzaju". Niezrównany jego dyrygent, ks. prałat dr. **Wacław Gieburowski** stworzył ze swego zespołu wprost niedościgniony ideał chóru. Triumf Poznańskiego Chóru Katedralnego był tak wielki, że stawiono go w ocenie na pierwszym miejscu tuż obok lub nawet przed świetnymi chórmi włoskim i węgierskim. Możemy naprawdę być dumni z naszych poznańskich śpiewaków katedralnych.

Bardzo szczęśliwie się złożyło, że na te szczęśliwe popisy międzynarodowej muzyki kościelnej przybył wielki miłośnik i znawca muzyki kościelnej, troskliwy opiekun tego naszego najlepszego chóru, J. Em.

Książ
Prymas
Hlond.
Cóż
dziw-
nego,

a spod mistrzowskich palców polskiego organmistrza, prof. Bronisława Rutkowskiego, popłynęły tony naszej pieśni kościelnej „Kto się w opiekę...”

Żywo i radośnie zabiły serca polskie!!

Oczy wszystkich zebranych utkwily w majestatycznej postaci Prymasa Polski, który zasiadł na tronie, wysoko wzniesionym przy głównym ołtarzu.

Mimowoli przed oczyma wyobraźni przesuwaly się obrazy wspaniałych uroczystości koronacyjnych, które tu, na tym samym miejscu odbywały się aż do roku 1792. Tu na tym miejscu średniowieczni dostojnicy Kościoła wkładali kosztowną koronę cesarską, wysadzaną cennymi brylantami, perłami i drogimi kamieniami, na skronie książąt niemieckich, koronując ich na cesarzów. Dziś klejnoty koronacyjne spoczywają w wspaniałej sali frankfurckiego ratusza. Ale to tylko naśladownictwa, bo prawdziwe znajdują się w Wiedniu.

Z pięknie, potężnie brzmiących organów, popłynął chorał, po którym „Poznański Chór Katedralny”, pod mistrzowskim kierownictwem ks. dr. W. Gieburowskiego, zaintonował Mszę św. jednego z polskich mistrzów muzyki 17-go wieku, Bartłomieja Pękiela. Mszę tę, noszącą nazwę „Missa pulcherrima” (Msza najpiękniejsza) z nieporównanym mistrzostwem wykonał nasz chór na cztery głosy mieszane a capella (czyt. a kapella) czyli bez towarzyszenia instrumentów.

Prześliczne głosy pieściły ucho niewy-



R. Mork.

Przepięknie wygląda olbrzymia majestatyczna katedra frankfurcka, tonąca w powodzi świateł i reflektorów.



Korona, berło i jabłko cesarskie, którymi koronowano cesarzy niemieckich. Oryginały znajdują się we Wiedniu. Kopie leżą w oszklonej szafie w pokoju książęcym w „Römerze” — ratuszu.

Frankfurt, miasto malowniczo położone nad szeroko rozlanymi wodami Menu, prawie przy jego ujściu zbudowane, gościł w swych starych murach w pierwszej połowie października miłośników muzyki religijnej.

Zjechali się więc do Frankfurtu na ten kongres niemal ze wszystkich stron świata najwięksi muzycy w grze na organach, najlepsi dyrygenci i najlepsze chóry. Nie mogło oczywiście zabraknąć Polaków. I dobrze się stało, że na kongres ten zjawili się także nasi rodacy.

Już w powitalnym koncercie zabłysnął swą mistrzowską grą na wiolonczeli profesor **Wilkomirski** z Warszawy. Powszechny poklask zyskał słowik polski, znakomita śpiewaczka p. **Aniela Szlemińska**, wykonując pieśń starodawnego polskiego kompozytora **Szarzyńskiego** „Jezu, nadziejo moja”. Przy organach zasiadł nasz najlepszy organmistrz polski, profesor Państwowego Konserwatorium w Warszawie **Bronisław Rutkowski**, wykonując dzieła naszego wielkiego kompozytora, szambelana **Feliksa Nowowiejskiego**. Ale największe zdumienie i podziw wzbudził „Poznański Chór Katedralny”. Reprezentował on muzykę naszą tak godnie, że na tym międzynarodowym popisie muzycznym zaćmił znakomite chóry Niemiec, Holandii i innych państw.

Cała prasa fachowa podnosiła z głębokim uznaniem wartości artystyczne Poznańskiego Chóru Katedralnego, nazywając go „jedynym

że zwłaszcza trzeci dzień kongresu stał się dniem nowych triumfów polskości.

Tłumy wiernych wypełniły olbrzymie wnętrza wspaniałej katedry frankfurckiej (Kaiserdome) mającej za sobą przeszło tysiąc lat istnienia.

Z zachowaniem przepisanych obrzędów wprowadzono uroczystość do świątyni Jego Eminencję Ks. Kardynała Hlonda i Ekscele biskupa fryburskiego, ks. dra Gröbera.

Uderzyły wszystkie dzwony...

Zabrzmiały wszystkimi głosami organy.



„Poznański Chór Katedralny” ze swymi wychowawcami. P. prof. **Linda Kamińska** pielęgnująca troskliwie młode głosy chłopięce i znakomity dyrygent chóru ks. dr. **Wacław Gieburowski** stoją w środku.

Obok na lewo: „Poznański Chór Katedralny” z ks. prał. **Wacławem Gieburowskim**, jego dyrygentem, przed wielkim ołtarzem Katedry Poznańskiej.



powiedzianym czarem, unosząc duszę, jakby oczyszczoną, ponad wszystko, co ziemskie.

Jego Eminencja, Kardynał Hlond, wracając z Katedry w złocistej kapie, w wysokiej infule, z pastorałem w dłoni, błogosławił tłumowi, który przykłękał, odbierając błogosławieństwo.

Nagle nieoczekiwane kilkakrotne okrzyki: „Heil! Heil! Heil!” rozdarły powietrze, napełniając nas Polaków uczuciem, w którym wielkie zdumienie walczyło z niedającym się opisać rozrzewnieniem.

Owacja była nieoczekiwana, wybuchowa, naprawdę szczerą...

Czyż serce prawdziwego Polaka mogło pozostać głuche na taki wyraz czci i sympatii, jaką naród niemiecki oddał Najwyższemu dostojnikowi duchownemu Polski?

Bożena Czyżykowska.

BOHATEROWIE ALKAZARU (Dokończenie ze strony 730)

Zbczeszczona katedra N. M. P. del Sagrario

Stoimy przed okazałą bramą katedry w Toledo. Jest ona, obok katedry w Burgos, najkosztowniejszą i najpiękniejszą ze wszystkich gotyckich kościołów Hiszpanii. Na zewnątrz wydate się wszystko niezmiennione. General w nielicznym towarzystwie wchodzi do wnętrza. W olbrzymim tłumie rozlega się ciche łkanie. Setki kobiet klęczą przed ołtarzem Dziewicy del Sagrario. Łkanie potężniejsze. Cóż się stało?

Z figury Matki Bożej, najkosztowniejszej i najbardziej czczonej w katedrze, z arcydzieła 12 wieku, skradziono srebrną koronę. Najświętsza Panienka uśmiecha się słodko jak zwykle. Klęczący i modlący się są jednak niepokieszeni. Zbczeszczono bowiem ich największą świętość, jedną z najbardziej czczonych w całej katolickiej Hiszpanii.

Wychodzimy na ulicę.

General Franko wciąż jeszcze walczy ze wzruszeniem.

„To przechodzi wszystko — mówi — czego należało się lękać, wszystko, czegośmy się spodziewali. Podobnych rzeczy nie uważaliśmy za możliwe. Ludzie, którzy się tu bronili, bronili całej Hiszpanii. Są oni największymi bohaterami całej tej krucjaty. Pragnąłbym, aby cały świat mógł się zebrać przed tymi ruinami i być świadkiem tego, co się tu rozegrało, aby na własne oczy móc zobaczyć hańbę i barbarzyństwo naszego stulecia — bolszewizm.“

Kościelne skarby, cenne pamiątki narodu hiszpańskiego wywiezione za granicę celem wymiany na maszynówki

Wychodzi ku nam drżący staruszek kapłan. On i jeszcze jeden pozostali przy życiu z ogólnej liczby 85 osób liczącego duchowieństwa Toledo. Wszystkich innych pomordowano w sposób nieludzki. Z pośród przebywających w Toledo zakonnic pozostały przy życiu tylko dwie, jedna ze Stowarzyszenia Jezusowego i dwie Karmelitanki. Wszystkie inne siostry zakonne zostały w ostatnim dniu porwane z klasztorów i rozstrzelane na ulicach. Przedtem, w ciągu ośmiu tygodni, zmuszano je do czyszczenia kwatery czerwonych milicjantów i hańbiono w domach publicznych.

W ciągu ośmiu tygodni czerwonych rządów w Toledo zamordowano 725 osób. Najpierw wszystkich bogatych, potem średnio zamożnych, którzy nie zdążyli się uratować, a gdy wreszcie i tych zabrakło, mordowano każdego, kto wydawał się bolszewikowi podejrzany.

Codziennie po południu przywożono luksusowymi autami z Madrytu do Toledo najgorsze męty wielkomięskiego proletariatu. Pozwolono im tam plądrować.

Pomiędzy jeńcami, pochwyconymi przez legionistów w czasie szturm na miasto, znaleziono dwóch, którzy w kieszeniach mieli po 500 000 i 800 000 pesetów.

Staruszek kapłan, który mi towarzyszy, prosi na kolanach, żeby nie wymieniać jego nazwiska; spotyka się to na każdym kroku. Lęk przed czerwonymi, obawa, by notatka w prasie nie spowodowała okrutnego prześladowania wszystkich krewnych wymienionego, jest wciąż żywa. Oprowadza on nas po kościele. Zamiary czerwonych widoczne są z ich działalności w kaplicach i skarbcu. Z początku myślnano, że wszystko zostało zrabowane, później jednak znaleziono cały łup, przygotowany do zabrania, leżący w jakimś ciemnym kącie. Tuziny skrzyń z mieniem kościelnym i prawie wszystkie drogocenne, pokradzione obrazy. Miały one prawdopodobnie w najbliższych dniach, tak jak wiele innych dzieł sztuki, zostać wywiezione z Hiszpanii za granicę celem wymiany na materiał wojenny.

Od trucizny na szczury wyginają kobiety i dzieci

Pułkownik Franko, kuzyn i adiutant generała, prosi mnie na chwilę do swego biurka. Z zamkniętej szuflady dobywa dokument, który dopiero wpadł w jego ręce. Przywiózł go lotnik z Madrytu. Udało mu się wreszcie znaleźć stosowną chwilę do ucieczki i wylądować w obrębie wojsk narodowych. Jest to króciutkie pismo, lecz doniosłością swą i wartością przewyższa wszystkie dotychczasowe dokumenty. Wyobraźcie sobie:

Już przeszło siedem tygodni broni się Alkazar i daje światu pokaz bohaterstwa dzielności. Wszystko rozbija się o nieugiętą wolę obrońców: ogień artylerii, bombardowanie, próby doprowadzenia gumowymi węzami nafty do kazamat twierdzy i podpalenia jej. Jeden z żołnierzy rzucił się wtedy na strumień nafty, wyrwał i odwrócił śmiercionośne narzędzie i skierował jego ujęcie na szeregi napastników. Ten najdzielniejszy z pośród dzielnych ginie pod gradem kul karabinowych, stając w obronie ogółu.

A tego samego dnia, w którym rozgrywa się powyższy wypadek, w Madrycie major Ristori, adiutant ministra wojny, wysłał pismo do szefa rządu, w którym podejmuje się podłości: Pomalować samolot barwami armii narodowej i udać się nim ponad obleżoną twierdzę, aby rzucać paczki z zatrutą żywnością. W konserwach, chlebie i paczkach z czekoladą znajdują się ma trucizna na szczury. Trucizną na szczury spodziewa się pokonać Alkazar. Od trucizny na szczury wyginają kobiety i dzieci, które od tygodni znoszą mękę obleżenia. Trucizna na szczury przeciw bohaterstwu — czy

istnieją słowa na właściwe określenie takiej szatańskiej podłości?

Pułkownik Franko wręczył mi jeszcze jedną broszurę, którą ostatnio wydał rząd narodowy w Burgos, i którą rozsyła do wszystkich cywilizowanych państw na świecie. Zawiera ona wykaz i opis najstraszniejszych zbrodni, których dopuścili się milicjanci „Frontu Ludowego” w południowych miastach Hiszpanii, zanim zostały one oswojone przez wojska rządowe. Podaje ona nazwiska 91 mieszkańców miasta Baena, w prowincji Cordoba, których zwłoki było jeszcze można rozpoznać i ustalić, jaką śmiercią zginęli. Połowa zginęła od ciosów siekiera, innych na pół uśmierconych podpalono, innych jeszcze zmasakrowano kulami rewolwerowymi. Zakonnicom Carmenie Contreras-Flores i Antonii Pavon-Galestero żywcem wylupiono oczy i w krwawiące oczodoły wtłoczono medaljony z wizerunkiem Matki Boskiej, które nosiły na szyi. Ofiarami tej rzezi bolszewickiej padli burmistrz, aptekarz, urzędnicy poczty i telegrafu, kupcy, przemysłowcy, lekarze, malarze, literaci, kapłani, adwokaci, fryzjerzy i studenci.

Wszystko to zostało urzędowo stwierdzone. Do dyspozycji stoi cały szereg świadków, gotowych zeznawać pod przysięgą. Dołączone do broszury obrazki są bardziej jeszcze okropne i wymowne. Nie są one jednak najstraszniejsze. Widziałem w archiwum Rządu Narodowego w Burgos fotografie inne, które okrucieństwem swym przewyższają wszystkie sprawozdania, których treści jednak nie można odtworzyć.

W tej samej szufladzie, w której pułkownik Franko przechowuje dokument z Madrytu, znajduje się pół tuzina sowieckich paszportów. Odebrano je pojmianym do niewoli i zabitym oficerom czerwonej armii...

Widziałem w Hiszpanii dużo entuzjazu, ale nigdy nie przeżyłem podobnych chwil, jak w ową noc (28 września), pod gwiazdzistym niebem Nowej Kastylji, między domami małego miasteczka prowincjonalnego Talavera de la Reina. Legioniści, faszyci, Marokańczycy, wieśniacy, kobiety, oficerowie, dzieci, dziewczęta i staruszki — wszystko padało sobie w objęcia, tańczyło, radoowało się, krzyczało, trąbki dźwięczały, rozlegał się werbel bębnowy, ryczały klaksony samochodów, warczały motory. Gdy przez plac przejeżdżała bateria armat, rzucił się pełen uniesienia tłum na lawety i konie, zerwał płócienne osłony z łuf i począł całować zimny metal. Nawet zimne i skamieniałe twarze wstrzemięźliwych zwyczaj Arabów ożywiły się w tę wielką i radosną noc. Przekład z Berliner Lokal-Anzeiger na podstawie osobnego upoważnienia. Jan Jerzy Studnic

ZE ŚWIATA

Z Listu pasterskiego Księcia Metropolity Adama Sapiehy

W jasnych a pełnych siły słowach Arcypasterz wskazał najcięższe braki w naszym życiu religijnym i państwowym. Grozi nam niebezpieczeństwo ze strony zarazy komunistycznej, a niestety nie jesteśmy dość odporni, a „co więcej nasza inteligencja daje się często w nią uwikłać i sprzyja przewrotowi”. Obrona jest nie tylko konieczna, ale powinna być nagła.

„Pozwolił się wredzić wrogowi daleko w szeregi naszej młodzieży, nie dopilnowaliśmy naszych szkół.

„Mimo głośnych hasel samodzielności wielu popiera ideologię (t. j. zasady) obcą, wytworzoną przez rasę, której dążeniem jest znieważenie, a przez to wyzyskanie narodów, wśród których żyje.”

Poruszając groźną sprawę ciężkiego położenia mas, Książę Metropolita pisze:

„Každy człowiek, przychodząc na świat, ma prawo do życia i winien mieć możność posiadania środków koniecznych do utrzymania go. Społeczeństwo winno też dążyć do tego, aby sprawiedliwy wymiar dóbr zapewnić swym członkom.

Ale sprawiedliwość obowiązuje także „do przyznania praw, jakie się komu należą.

„Prawa i rozporządzenia władz — czytamy w Liście — są dla dobra ludzi i tak muszą być stosowane. Nękanie nimi i wykonywanie ich ze szkoda i niepotrzebnym szykanowaniem ludności jest krzywdą i występkiem karygodnym.”

W stanowczych słowach dotknął też Książę Metropolita sprawy szkół. Zaznaczając, że nie można ich uważać „za teren doświadczalny dla różnych niedojrzałych pomysłów” — pisze otwarcie:

„Dozwolono, by organizacja wychowawców młodzieży była placówką przewrotowych zasad, która nie tylko swych członków zmusza do ich stosowania, ale nadto przez swe wydawnictwa szerzy pochwały dla działalności Sowietów i propaguje niedowiarstwo.

Tylko światopogląd zakonu Chrystusowego jest jedynym wałem obronnym wobec tych prądów antyreligijnych i anty społecznych.

List kończy się wezwaniem do zdecydowanego, zbiorowego, zjednoczonego postępowania, do złączenia się w jeden obóz Chrystusowy.

Dla uczczenia Skargi w 400 rocznicę jego urodzin

Związek Polek dla wspierania ubogich kościołów na kresach wschodnich, mający siedzibę w Poznaniu, w swej odezwie do społeczeństwa polskiego poruszył piękną myśl, aby z oliar wybudować skromny kościółek w miejscowości Perespana na Wołyniu, odległej o 20 km od najbliższego kościoła. Piękna ta myśl niewątpliwie znajdzie odgłos w sercach czułych na potrzeby katolików kresowych. Ofiary należy przesyłać przez P. K. O. 209.592 pod adresem Związku, Poznań, ul. Grunwaldzka 20a m. 4.

Pamięci tych, którzy zginęli za Polskę

Jako własne uzupełnienie do uchwał Kongresu Skargowskiego w Warszawie, p. Janusz Rab-

ski podaje piękną myśl uczczenia jubileuszu wielkiego kapłana patrioty przez uczczenie poległych za Ojczyznę. Za poparciem Dostojnego Episkopatu — pisze — można sprawić, by w każdym kościele parafialnym koło jednego z bocznych ołtarzy, wśród pęku chorągwi biało-czerwonych był umieszczony Krzyż, a pod nim tablica z takim mniej więcej napisem: **U stóp Krzyża wspomnijcie tych, którzy zginęli za Polskę.** Na ołtarzu miłości Ojczyzny bohaterko swoje życie oddali następujący mieszkańcy parafii... (Następuje tu nazwa parafii oraz imiona i nazwiska poległych). Cześć ich pamięci.

Myśl jest niewątpliwie piękna i niewątpliwie znajdzie odgłos w sercach wszystkich, a zwłaszcza w sercach rodzin poległych.

Ta wiara nas nie opuściła

Im wyżej lataasz, tym silniej wierzysz. Świadczą o tym słowa samych lotników i to lotników dalekich i wysokich jak porucznik Brenk, który na balonie LOPP, z kapitanem Januszem drugie zajął miejsce w zawodach o puchar Gordona-Benneta. W jednej ze swoich kartek, pisanych do znajomych po powrocie do Warszawy, pisał: „Po ciężkiej i długiej wędrówce po Rosji, po licznych, ciekawych przygodach udało mi się szczęśliwie wrócić do Warszawy, skąd zasyłam serdeczne pozdrowienia. Chyba tylko **Opatrzności Boskiej podziękować należy, że wszystkie przeszkody tak łatwo zostały przez nas pokonane. Ta wiara nas nie opuściła.**”

Na tej kartce podpisał się i kapitan Janusz.

Polski Związek Myśli Wolnej

został rozwiązany w całym kraju zarządzeniem z dnia 1 paźdz. 1936, wydanym przez Komisarza Rządu w Warszawie, ponieważ działalność Związku wykraczała przeciw obowiązującym prawom i zagrażała bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu w Państwie. Związek posiadał poza Warszawą 20 oddziałów w większych miastach. Wszystkie te oddziały zostały również rozwiązane, a osobni likwidatorzy przystą-

pią do zwinięcia zarówno centrali Związku jak i oddziałów prowincjonalnych.

Krzyże w salach wykładowych Uniw. Warszawskiego

Jeszcze w dniu 26 października b. r. senat akademicki Uniw. Warszawskiego powziął następującą uchwałę: — Senat uchwała zawiesić krzyże w salach wykładowych oraz wyraża życzenie, by za zgodą kierowników zakładów krzyże zostały zawieszane i w zakładach naukowych.

Walkę o krzyże na wyższych uczelniach toczyła młodzież od kilku lat. Na niektórych ją wygrała, jednak nie na wszystkich. W wyniku wypełnienia ślubów jasnogórskich we wszystkich kościołach akademickich mają być zawieszane woła z brązu na wzór wotum złotego jasnogórskiego, ufundowanego przez starsze społeczeństwo z ks. biskupem Szlagowskim na czele, a zawieszono na Jasnej Górze w dzień ślubów młodzieży akademickiej.

Odwaga kapłana katolickiego imponuje czerwonym milicjantom hiszpańskim

Prasa francuska zamieszcza wiadomość, podaną przez wysłannika jednego z pism, o niezwykłym bohaterstwie i odwadze pewnego kapłana hiszpańskiego. Dowiedziawszy się, że jest poszukiwany przez czerwoną milicję, sam zgłosił się w odpowiednie miejsce i został natychmiast aresztowany. Oświadczone mu, że zostanie w przeciagu paru godzin rozstrzelany. Wobec tego poprosił, by mu pozwolono pożegnać się z matką i siostrą, i zareczył słowem honoru, że powróci na wyznaczony termin egzekucji. Milicjanci wypuścili więźnia. Mieli jednak wątpliwości, czy kapłan wróci. Wrócił jednakowoż, i to niemal co do minuty, na tę godzinę, na którą obiecał, oświadczając, że jest teraz gotów umierać. Odwaga jego i pogarda śmierci takie wrażenie zrobiły na komunistach, że, znizszy już wycelowane weń karabiny, jednogłośnie zawolali:

— Tego człowieka nie rozstrzelamy...

W ten sposób kapłan ocalał.

75-lecie zasłużonego Zakładu

Zakład N. M. P. Anielskiej, Gimnazjum Żeńskie SS. Urszulanek w Kościerzynie na Pomorzu urządza dnia 8 grudnia b. r. uroczysty obchód 75-cio letniego jubileuszu swego istnienia. Dyrekcja Zakładu uprzejmie prosi wszystkie dawne uczennice i zyczyliwych znajomych o łaskawe najszybsze podanie swoich adresów, celem zaproszenia wszystkich do wzięcia udziału w obchodzie.

Zgon najbogatszego żebraka na świecie

W Afryce południowej w Kapstadzie zmarł 71 lat liczący Grek z pochodzenia, nazwiskiem Panajotis Valides, był on w największej biedzie, całkowicie opuszczony przez wszystkich. Gdy zachorował i chciano mu sprowadzić lekarza, skarżył się, że nie ma ani grosza. Z konieczności więc zajęli się nim sąsiedzi, placąc za lekarstwa oraz za jedzenie. W kilka tygodni Grek zmarł, a wówczas okazało się, że pozostawił majątek w gotówce, wynoszący 65 000 funtów szterlingów (prawie 2 miliony zł).



PODNIÓSŁY DZIEŃ W POZNANIU

Korpusy ołicerskie wszystkich oddziałów Okręgu Korpusu VII składają Ks. Kardynałowi Prymasowi D-rowsi Hlondowi w holdzie odznaki wszystkich oddziałów. Trzyma je w ozdobnej szkatule (tu niewidocznej) starszy sierżant. Obok Ks. Kardynała Prymasa (na prawo zwrócony ku niemu) Generał Knoll-Kownacki, za Ks. Kardynałem Wojewoda Maruszewski, na lewo od Wojewody Ks. Protonotariusz Apostolski Józef Klos.

Św. Marcin

Objaśnienie obrazka frontowego

Ileż to obrazów przedstawiało św. Marcina na białym koniu, przecinającego na pół płaszcz, aby odziać zziębłego żebraka! Ale prawie wszystkie są do siebie podobne. Na naszym obrazku jest pełna głębokiej myśli odmiana. Św. Marcin dzieli się płaszczem z żebrakiem pod krzyżem. To nie rzeczywisty krzyż. To jakby

widzenie, wyobrażające Chrystusa, który z krzyża patrzy na dzieło Swego przyszłego biskupa, a potem we śnie mu się ukaże odziany połową płaszczka, daną przez Marcina żebrakowi. Ileż piękna jest w tej myśli, ile siły w ciemnym surowym krucyfiksie, ile głębi miłości w spojrzeniu Chrystusa!

Ale nie koniec na tym. Na ciemnym, jakby grubymi chmurami zimy pokrytym niebie zarysy miasta z strzelającą ku niebu wieżą katedry. A pod murami ogromny tłum ludzi. Ołbrzymia

procesja, a na jej czele postać biskupa w insule z pastorałem. To także widzenie. To widzenie przyszłości, kiedy ludność katolicka obrzeje św. Marcina biskupem miasta Tour (czyt. Tur) i podstępem oraz przemocą uprowadzi go z jego pustelni, gdy w pokorze swej nie będzie chciał przyjąć wyboru.

Obraz cały jest dowodem, ile treści można włożyć w tak często już opracowywany temat, gdy go twórca w swej wyobraźni pogłębi i tak artystycznie wykona.

O spasaniu surowych

Rola

Niemożliwość sprzedaży surowych ziemniaków po dobrej cenie zniewała rolnika do zużycia ich we własnym gospodarstwie.

Parowanie lub kiszenie nastęrcza jednak trochę trudności, albowiem jest przy tych czynnościach nieco pracy i wydatków. Aby więc ułatwić sobie pracę i oszczędniej zużyć te plony, można ziemniaki spasać na surowo. Pasienie zwierząt surowymi ziemniakami wymaga jednak dużej uwagi i staranności. Przede wszystkim należy najpierw przyzwyczaić zwierzęta do zjadania surowych ziemniaków. Zanim karmę tę zada się zwierzętom, należy ziemniaki starannie oplukać, odrzucić ziemniaki popsute i porurywać kielki. Ponadto jest wskazane, aby ziemniaki trochę podrobnić.

Ponieważ ziemniaki zawierają dużo składników drażniących przewód trawienny, należy unikać równoczesnego zadawania kwaśnych pasz, wzgl. łatwo kiszonych składników jak: melasy i t. p. Surowe i rozdrobnione ziemniaki najlepiej wymieszać dobrze z dużą ilością siewki i wody. Na dodatek dodać oleistych kuchów.

Świnie najbardziej wykorzystują ziemniaki. W czasie tuczu nie można ich jednakże zadawać w stanie surowym, gdyż tucz odbywałby



A żrycie mi — kochane krówki...

się zbyt powolnie. Doświadczenia bowiem wykazały, że przy wypasaniu parowanymi ziemniakami świnie przybierały na wadze **dziennie około 650 gramów**, podczas gdy karmione surowymi — tylko **280 gramów**. Prędki tucz świń powinien być uskuteczniany li tylko parowanymi ziemniakami.

Inaczej natomiast przedstawia się sprawa z karmieniem prośnych, karmiących świń i prosiąt. Jak korzystnie wpływa takie żywienie na organizm świń, wie każdy rolnik, który po wybrze ziemniaków pozwala swej trzodzie przeryć kartofliska dla przeskazania pozostałych resztek.

Karmienie koni surowymi ziemniakami powoduje podobno niemile skutki, dlatego zadaje się tym zwierzętom przeważnie parowane, suszone lub kiszone ziemniaki. Doświadczeni rolnicy jednak twierdzą, że obawy są całkiem nieuzasadnione, bo jeśli przestrzegać się będzie czystości ziemniaków surowych, można z powodzeniem zadawać je na surowo. **Konie należy jedynie powoli przyzwyczajać do tej karmy i nie za dużo zadawać.** Należy jednakże pilnie przestrzegać, by przy ziemniakach

wych ziemniaków

i Ogród

nie zadawać koniom równocześnie innych pasz treściwych.

Koniecznym jest ponadto, aby ziemniaki były czyste, rozdrobnione i dobrze wymieszane z dużą ilością siewki i wody. Przy średnich pracach wystarczy, jeśli konie dostaną prócz 10 kg ziemniaków — jako dodatek 5 kg siana, 2 kg owsa i pół do 1 kg sruutu.

Dla krów natomiast są surowe ziemniaki bardzo odpowiednią karmą. Surowe ziemniaki działają mlekopędnie. Nie powinno się jednak przekraczać dawki 15 kg na sztukę, gdyż większe ilości mogłyby spowodować zaburzenia żołądkowe i tworzyłyby twarde tłuszcz masłany.

Ponieważ ziemniaki są pokarmem ubogim w białko, należy koniecznie dodawać do tej paszy kuchen — i tak jak u koni, dostatecznej ilości siewki i wody oraz siana i zakładki.

Na jedno należy jeszcze zwrócić uwagę, mianowicie, że ziemniaki mają bardzo niską zawartość wapna i fosforu oraz soli. Aby więc wraz z mlekiem „nie wyjadać szpiku” konieczny jest dodatek 50 g wapna pastewnego i 50 g soli kuchennej. Kto tych warunków spasania surowych ziemniaków będzie przestrzegał, uniknie wszelkich kolek, wzdęć i t. p.

H.

Praktyczne widły do mierzwy

Zdarza się, że przy wyrzucaniu, a głównie przy zrzucaniu długosiemiastej i zbitej mierzwy, wyslizguje się często z ręki — głównie przy mokrym powietrzu — trzon widel. W bardzo prosty sposób można temu zapobiec. Otóż przybija się do trzona niezupełnie na końcu widel rzemień 12 cm szeroki, w formie pętli 15 cm długiej, z miękkiej skórki. Ręka wsunięta w pętlę wysunąć się nie może. Prosty ten sposób może pracę ułatwić i skrócić. Każdy może sam to wykonać.

R. H.

Jak długo trzymać drób.

Z kur mamy największy pożytek w ciągu pierwszych dwóch lat. Wtedy bowiem są najlepszymi nioskami. W trzecim roku również nieźle noszą, lecz po tym czasie, lepiej je zastąpić młodymi.

Indyczki i perlice trzymamy do czterech lat. Indyki natomiast muszą być wcześniej zmieniane, gdyż stają się ciężkie.

Czyś założył w październiku na drzewach owocowych opaski papierowe posmarowane lepem?

Dziś jeszcze możesz to zrobić, jeżeliś dotąd tego nie uczynił, a zagroźdysz drogę najgroźniejszym szkodnikom, jakimi są pędzik przedzimek i zimówek ogołotniak. Samiczki tych motyli w tym właśnie czasie rozpoczną pełzać po pniu drzewa na koronę, by złożyć tam 300—400 jajeczek. Z jajek wyłęgają się na wiosnę niesłychanie żarłoczne gąsieniczki, które wyjadają pączki i tym samym niszczą zawiązki owoców.

Dobry lep powinien utrzymać swą pełną lepkość co najmniej do dwóch miesięcy. Można go samemu przyrządzić z oleju lnianego i smoły szwskiej lub kupić gotowy lep sadowniczy marki „Azot”. Samiczki owych szkodników tępią się na owych opaskach w takich ilościach, że nieraz już z tego powodu trzeba opaski odnowić.

Kaczki nieśne dają najwięcej pożytku w pierwszym roku życia. Ponad dwa lata nie warto ich trzymać. Inne kaczki trzymamy do 4-5 lat.

Gęsi trzymamy do 8-miu lat. Gąsiora zmieniamy co dwa lata.

Gołębie dają pożytek od 6 do 8-miu lat.

Jakie cechy posiadają złe nioski.

- 1) Nadmierną wielkość i ciężar ciała,
- 2) podbrzusze twarde jak bęben i zaro-



śnięte tłuszczem, 3) grubą skórę, 4) chropawy drobno ząbkowany grzebień, 5) długie pazurki, 6) grube opadające powieki, 7) ospałe oczy, 8) grube i sztywne kostki przewodowe, 9) ciasny i suchy otwór odbytu, 10) ciężką mięsistą głowę albo wydłużoną-wronią głowę z długim dziobem, 11) płochliwość, lenistwo, wystawianie na słońcu pod ścianami.

G.

3)

Zamieszka u niej. Tak jej wtedy mówił. Ale czy ona dożyje tej chwili? Z sercem niedobrze. lata idą... Czy wróci? Tyle mu niebezpieczeństw grozi. Czy go nie zabiją febry i inne choroby, panujące w niezdrowych klimatach? Samo słońce Afryki ma być zabójcze...

I jakim wróci?

Maćzek utrzymuje, że przyrodnicy i uczeni w Boga nie wierzą, że za granicą sami bezbożnicy wykładają w szkołach, podkopując u młodzieży wiarę.

Maćzek jest mądry, nie mówi byle czego. On swego syna nie wysłał między niedowiarków. Będzie strzegł, pilnował Rysia, by go przewrotne wpływy nie zepsuły.

Tak, Maćzek jest mądry, przyświadczała sobie pani Teresa. Ileż razy on jej o tych sprawach mówi, a co powie, to jakby jej z duszy wyrwał.

Jakby wywołany tą myślą o nim, zjawił się właśnie w ogrodzie pan Maćzek.

Mało się zmienił od paru lat. Był równie chudy, sztywny, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy a uprzejmym uśmiechem, przywarłym do wąskich warg.

Jedynie zmieniło się jego znaczenie w dworku. W tym samym sadzie, gdzie przed laty swym najściem i obcą postacią zmaćcił wesołość zbiórki owocu Staszka i ciotki, dziś czuje się jakby u siebie, należy do uroczego obrazka, jaki tworzy pod rozkwitłymi drzewami babunia i dzieciak: jego synek! Samo przywitanie świadczy o życiu się tych obojga osób. Jest dalszym ciągiem codziennych rozmów. Maćzek zasiada obok ciotki ze swobodą domownika, który w przerwie swych zajęć przyszedł odetchnąć w rodzinnym kole.

Babunia powtarza śmieszne odezwania malca, ojciec słucha z zajęciem, przytakuje i dorzuca swoje opowieści o pieszczocho. Oboje z rodzicielską czułością śledzą ruchy bawiącego się chłopaczka.

Pomimo, iż postać synka przykuwała uwagę Maćzka, dojrzał jednak w ręce staruszki drobny przedmiot: widokówkę Staszka. Pogodny wyraz rozrzuconego ojca zmaćcił się w jednej chwili, przeistoczył na dawny słodkawy oblesny uśmiech, i głos nabral fałszywego dźwięku wymuszonej życzliwości przy słowach:

— Jest wreszcie wiadomość od Staszka! Skąd pisze? Czy obiecuje rychło swój przyjazd?

— Za każdym razem wysyła kartki z innej miejscowości, ale jeszcze ciągle z Afryki.

— Pewnie to szmat świata! Jeżeli zamierza dokładnie zwiedzić te dzikie kraje, całego życia mu nie starczy.

— Wspomina jeszcze o trzech latach podróży. Zbiera materiał do prac naukowych. Już nawet napisał jedną. Mó-

Powieść

wi, że mnie ona nie zajmie, bo czysto fachowa, ale zyskała mu uznanie.

— Wspominał o tym w przeszłym liście.

— Obecnie donosi, że już pojawiła się w druku.

— Mógłby tę pracę wujence przysłać, choćby jako dowód pamięci — mruknął Maćzek tonem wymówki. — Popytam się w księgarni o nowości naukowe i wystaram się dla wujenki o tę książkę. Jeżeli tak trudna, iż jej nie zrozumiemy, miło będzie jednak mieć ją, choćby jako ozdobę biblioteki z wypisanym Staszka nazwiskiem na okładce.

— Jakiś ty dobry i domyślny, Bolku! Pragnę zobaczyć jego nazwisko wydrukowane! Pochwalić się przed znajomymi, iż mój Staszek to uczony, drukuje dla szkół, a może nawet dla uniwersytetów! Nie wychodzę nigdzie, prócz do kościoła, zresztą nie umiałabym się o tę książkę wypytać w księgarni. Sama jej nie kupię, ale ci dam na nią pieniądze.

— Ależ, ciociu, to drobnostka!... Wychodząc stąd, zaraz wstąpię do księgarni, i jeżeli to dzieło jest w handlu, kupię je, i przysię cioci. Winszuję pociechy ze siostrzeńca, dowód to niezwykłych zdolności w tak młodym wieku wydawać prace naukowe.

Pani Teresa słysząc tę pochwałę, ożywiła się podobnie, jak przy opowiadaniach o rozumach Rysia i poczęła wspominać ukochanego siostrzeńca:

— O tak, Staszek był wyjątkowo zdolny, zawsze celujący, pilny, a lubił naukę jak inny rozrywkę. Przy tym dobre dziecko, wesołe, kochające...

Maćzek, przytakując ciotce, miał dziwnie zwięzione usta. Coś jadłowatego zdało się rozciągać twarz przymuszającą się do uśmiechu.

— Czas na nas — zakończył wreszcie rozmowę. — Trzeba malca zabierać do domu.

Przywołany Rys biegł w podskokach ku siedzącym. W miarę zbliżania się dziecka, Maćzek promieniał, kochał namiętnie syna.

Było to może jego jedyne szlachetne uczucie w życiu. Pragnął dla dziecka szczęścia całą mocą serca, rozumu i energii.

Dziecko z radością dopadło ojca, zawisło na jego szyi, gramoliło się na kolana.

Adwokat tajał w tych uściskach, znikła zwykła sztywność ruchów i piecza nad wyrazem twarzy, czułe słowa płynęły z wylaniem.

Zdało by się, że te drobne rączyny dziecka ściągały z rysów mężczyzny jakąś maskę przybraną dla ogółu, i odsłaniały nowe oblicze przeświecone ciepłem uczucia i pogodą prawdy.

Pani Teresa polubiła krewniaka męzowskiego za te jego ojcowskie zalety.

— To dobry człowiek — mawiała. — Jak on o to dziecko dba! Zabiega i pracuje, byle mu zapewnić przyszłość.

Patrzała obecnie na pieszczoły ojca z dzieckiem z tkliwym uśmiechem.

Maćzek uniósł Rysia w górę, a stawiając go na nóżki, zachęcał do powrotu.

— Pożegnaj się ładnie z babunią, trzeba do mamusi wracać.

Gdy się już oddalili, Rys uwieszony u ręki ojca rozpowiadał z dziecinną radością:

— Tatusiu, ja mam swój ogródek. Babunia mi dała...

Mijali właśnie dom, idąc główną dróżką ku bramie. Maćzek oderwał wzrok od szczebiocącego malca i powiodł go wokoło siebie.

— Tak, tak — szepnął — babunia ci da ogródek...

— Już mi dała — upierał się Rys.

Maćzek uśmiechał się ciągle, ale nie był to już dobry ojcowski uśmiech. Kryło się w nim zawzięte postanowienie i chytrych tego innego pana Maćzka.

Bezwiednie przyspieszał kroku. Minawszy bramkę, kierował się ku miastu i księgarni. Jakiś określony zamiar pochłaniał go, nie zważał na dziecko, szedł zagłębiany w myślach, jakby mocując się sam w sobie z tajną trudnością.

W księgarni zażądał broszury pod tytułem „Prawda a fałsz”.

Znał tę książkę. Była to napaść bezimiennego autora na Kościół i na najświętsze wierzenia. Zaciekły pisarz silił się w niej udowodnić, iż nauka i rozum ludzki stoją w sprzeczności z podawanymi przez Kościół prawdami. Ot, po prostu była to jedna z tych niecnych książek rozrzucana wśród ludzi, aby obalamucić i zmaćcić sumienia niedorzecznymi twierdzeniami. Maćzek wiedział nawet, kto był autorem bezbożnego piśmidła. Jakiś żyd, wróg katolicyzmu, który nie podpisywał swych broszur, aby żydowskie brzmienie nazwiska nie odslaniało przed czytelnikiem źródła, skąd były miotane obelgi na pojęcia chrześcijańskie.

Przybierał płaszcz filozofa i uczonego, aby tym snadniej pociągnąć nainwanych czytelników.

Maćzek przerzucał kartki podanej sobie książki i przyglądał się bacznie tytułowej stronie.

— I mnie, tatusiu, kup książeczkę! — napierał się Rys, wspinając się na paluszki, by dosięgnąć lady z kolorowymi okładkami.

Maćzek wybrał dziecku zeszytik z obrazkami.

Gdy wyszli ze sklepu, Rys zajęty swymi rycinami nie uprzykrzał się ojcu, a adwokat zatopiony w myślach również nie zwracał się do malca. Dobry uśmiech znikł bezpowrotnie z nerwowej twarzy, drgającej obecnie złym skrzywieniem i spiętej zmarszczkami przebiegłych obliczań.

Nabyta broszura, którą Maćzek kurczowo przyciskał ramieniem, zdało się, zaciążyła jakąś złowrobną udreńką i skupała całą jego uwagę.

Od dawna knuł zły zamiar. Dziś postanowił wprowadzić go w czyn.

W domu oczekiwała nadchodzących pani Helena. W wykwinie urządzonej jadalni młoda kobieta umieszczała swego pieszczoła na wysokim krzeselku, a wymawiając opóźnienie na wieczór, wesoło dogadywała dziecku i mężowi. Niefrasobliwe słowa młodej matki i szczebiot dziecka dźwięczały jak srebrzyste dzwonki.

Mążek nie wtrącał się dzisiaj do codziennej pogawranki, roztagrany jadł w milczeniu, nie odzywając się prawie do żony.

Parę razy spojrzęła na niego zadziwiona, aż wreszcie, gdy dziecko skończyło swój posiłek, uniosła je, przytulając do siebie, następnie pochylała jąsną jego główkę nad zasępionym czołem ojca ze słowami:

— Pokochaj tatusia, bo tatusia główka boli.

Śpiący już dzieciak cmokał ojcowskie czoło, a pogrążony w zadumie mężczyzna oddawał mu pocałunki z roztagraniem.

Panią Helenę zastanawiała zachowanie męża, toteż po ułożeniu Rysia do snu wracała z postanowieniem rozruszania mruka. Trąciła go lekko i zagadnęła żartobliwie:

— Budzę cię, Bolku! Wyglądasz ponuro, jakbyś knuł jakąś zbrodnię.

Na słowo „zbrodnia“ adwokat drgnął i obruszył się gwałtownie.

— Co pleciesz!

Wesołe oczy pani Heleny posmutniały.

— Chciałam cię ocknąć z tych ciągłych obliczeń — mówiła miękko. — Możesz chory? Przpracowany? Dawno nie pamiętam, abyś był tak chmurny. Co ci jest?

— Jestem przemęczony. Mam rozstrzygać zawile sprawy. Muszę się sku-

pić, obmyślić dokładnie wszystko. Nie mogę z wami paplać o byle czym...

— Biedaku! Bez wytchnienia morderujesz tę skołataną głowę. Wracasz z biura i jeszcze w domu obliczasz godzinami całymi. Ani zdrowie, ani nerwy nie wytrzymają takiej harówki.

— Trudno, trzeba myśleć o przyszłości dziecka, aby mu zostawić jaki taki majątek.

Helena gładząc skronie męża szeptała: Za dużo wymagasz od siebie Bolku. Za bardzo pragniesz wielkiego majątku. Ta pogoń za wielkimi zyskami przemęcza cię, odbiera sen i zdrowie. Nie jest nam potrzebny bezmierny majątek. Wszak mamy dość.

— Co wy kobiety o tym sądzić możecie?! — wybuchnął namiętnie Mążek. — Majątek to potęgą! To znaczenie u ludzi! Ja chcę, żeby Rys miał wielką pozycję w świecie, świetność, wygodę, by nie był byle kim. Na to trzeba zdobywać... ciągle zdobywać pieniądze...

— Masz wcale ładne dochody ze swej kancelarii próbowała jeszcze przekonać męża Helena. — Odłożyłeś znaczniejszy kapitał... mógłbyś na tym poprzestać. Nie rzucać się na coraz nowe ryzyka.

Mążek ożywił się, wyprężył, jakby zamierzał zмагаć się z jakąś przeszkodą.

— Nigdy nie jest dość... Raz stanąć, to znaczy cofać się. Ja chcę i muszę ciągle przymnażać.. Iść naprzód, ciągle dorabiać...

Przy tych słowach kierował się do swej pracowni, by zakończyć rozmowę.

— Bolku, Bolku ja się o ciebie boję — biegły za nim słowa żony. — Pamiętaj, że są ważniejsze rzeczy na świecie, niż wielki majątek.

Mążek, jakby chciał przekreślić to nawoływanie kobiece, machnął ręką i opuścił pokój.

Znalazłszy się sam w gabinecie, zasiadł przed biurkiem i rozwinął z opakowania przyniesioną książkę. Następnie otworzył pudro z małą ręczną drukarnią i zaczął dobierać czcionki do stampili. Na luźnej ćwiartce papieru odcisnął ułożone wyrazy i tę próbną odbitkę porównywał chwilę z drukiem książki. — Dobrze — mruknął do siebie — w sam raz wielkość liter — i z zadowoleniem zabrał się do zamierzonej roboty. Ostrożnie w stosownym oddaleniu nad tytułem broszury naciskał silnie stampilę, a gdy ją unióś, widniał wyraźny napis „Dr. Stanisław Darzycki“ nad nagłówkiem książki. Mrużąc oczy, przyglądał się swemu dziełu i kpił złośliwie: — Wcale ze mnie zgrabny drukarz. Wyszło jak z pod prasy. Ucieszysz się cioteczko... zobaczysz drukowane nazwiskó ulubieńca! Mam jednak nadzieję, że gdy przegłędziesz dzieło z tym podpisem, podrzesz testament. Potrafimy cię namówić na inny. A uwierzyć tej sztuczce musisz, gdyż przecie drukowane i książka i autor!

Nazwisko Staszka schło powoli, adwokat chodził po pokoju i rozważał dalej:

Nim Staszek wróci, nim się dogadają, nim ciotka zrozumie pomyłkę lata upłyną. Nie pozwolę jej zrozumieć, nie dopuszczę Staszka do zagniewanej babiny. A zresztą, dziś już jest zdiecinniała, za trzy lata, o ile będzie żyła, nie potrafi testamentów pisać, a ten, co teraz skreśli, dobrze przechowamy.

Za każdym razem, gdy zbliżał się do biurka, badał widniejące nazwisko Staszka na bezbożnej książce i zacierał nerwowo rękę.

— Ani przypuszczasz, przyszły profesorze, coś tu nabazgrał! I jak ciotkę ucieszysz tym podarkiem.

Nazajutrz rano Mążek odesłał pani Teresie starannie owiniętą paczkę, a popołudniu, jak zazwyczaj, wstąpił do niej po Rysia. (Ciąg dalszy nastąpi)

Liturgia jest w pierwszym rzędzie służbą bożą, w drugim dopiero narsędziem łaski.

Niedziela, 8. XI. dwudziestotrzecia po Zesłaniu Ducha Św. Jak dobry i miłosierny jest Jezus: Uszedł w niewiaście, cierpiącą od 12 lat na krwotok, i wskrzesił córke Jaira. Czy uciekam się w każdej potrzebie do Chrystusa?

Wspom. ostatn. dnia oktawy Wszystkich Świętych i ŚŚ. Czterech Ukoronowanych (Sewera, Seweriana, Karpofora i Wiktoryna). Imiona te długo były nieznanne, dlatego: ŚŚ. Czterech Ukoronowanych, t. zn. Uwieńconych w niebie.

Poniedziałek, 9. XI.: Rocznicą poświęcenia Arcybiskupliki Najśw. Zbawiciela. Nie tylko każda parafia obchodzi rocznicę Poświęcenia swych 4 największych bazylik w Rzymie, a mianowicie bazyliki Najświętszego Zbawiciela na Lateranie, Najświętszej Marii Panny Większej czyli Śnieżnej, Św. Piotra i Św. Pawła. Dzi-

siaj obchodzimy święto rocznicy Poświęcenia arcybiskupliki Najświętszego Zbawiciela, pierwszego wogóle kościoła w całym Rzymie, wystawionego przez pierwszego chrześcijańskiego cesarza rzymskiego, Konstantyna, na tym miejscu, na którym tenże odebrał chrzest św. z rąk papieża Sylwestra. Przenieśmy się dzisiaj myślą do Rzymu do świątyni Laterańskiej i podziękujmy Bogu za wszystkie łaski, odebrane przez „Święte Miasto“, — a jest ich bardzo wiele.

Wspomn. Św. Teodora Męcz.

Wtorek, 10. XI.: Św. Andrzej z Awelinu Wyzn. Urodził się w r. 1521. Dla swej wiedzy w prawie kościelnym otrzymał urząd obrońcy przy sądzie duchownym. Kiedy pewnego razu zdarzyło się, że w zapalanej mowie wypowiedział drobne kłamstwo w sprawie sobie powierzonej, postanowił złożyć natychmiast swój urząd i oddać się ważniejszej pracy duszpasterskiej. W tym celu wstąpił do zgromadzenia księży Teatynów, zamieniając swoje dotychczasowe piękne imię na imię Andrzeja dla miłości krzyża, którą się odznaczał św. Andrzej Apostoł. Wyróżniał się tedy pragnieniem ponizienia i upokorzenia. Pracował całymi dniami na ambonie i w konfesjonale, modlił się przez sześć godzin na dobę. Miał gorące nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, stąd też pomimo starości i słabości nie omieszkiał odprawiać co-

dziennie mszy św. Przy stopniach ołtarza miał tedy rozpocząć walkę śmiertelną; poszedł wspierany przez współzakonników do kościoła, aby odprawić mszę św. Ledwie jednak wymówił jej pierwsze słowa, został paraliżem ruszony i wkrótce umarł, pocieszony widzeniem Najśw. Marii Panny.

Środa, 11. XI.: Św. Marcina Bisk. Wyzn. Umarł r. 397. Wielka jest popularność tego świętego. W samej tylko Francji istnieje 3672 parafie pod jego wezwaniem.

Czwartek, 12. XI.: Pięciu Braci Męczenników w Polsce (nie Polaków, bo nie byli Polakami). Benedykt, Jan, Mateusz, Izaak i Kryśtin, pustelnicy pod Kazimierzem, niedaleko Konina, zostali zabici w r. 1005 przez rabusiów z powodu tego, że rzekomo nie chcieli wydać skarbów, ofiarowanych im przez Bolesława Chrobrego. Pustelnicy, nie chcąc posiadać złota, byli odesłani je wspaniałomyślnemu królowi. W niektórych diecezjach dzisiaj św. Marcina I Pap. i Męcz.

Piątek, 13. XI.: Św. Stanisława Kostki Wyzn. Umarł 15. 8. 1568 r. w Rzymie.

Sobota, 14. XI.: Św. Jozafata Bisk. i Męczennika. Pracował jako biskup w Połocku gorliwie nad zjednoczeniem prawosławia z Kościołem, za co został przez schizmatyków zamordowany we Witebsku dnia 12. XI. 1623. Ciało jego spoczywa obecnie we Wiedniu.



A gdy wygnano rzeszę wszedł i wjął jej rękę...

Z TYGODNIA: Rosja ma być odsunięta od spraw europejskich

Z powodu spisu

Sześć tygodni temu ogłoszono listę majątków polskich i żydowskich, położonych w b. Królestwie, Małopolsce i na Wołyniu, które muszą być rozparcelowane w ciągu roku, bo inaczej będą wywłaszczone i rozdrobione przymusowo. Ta lista rozogniła spór między przeciwnikami wielkiej i średniej własności ziemskiej a obrońcami tej własności. W obronie średnich majątków, głównie dotkniętych groźbą wywłaszczenia, wystąpiły, prócz dzienników zachowawczych pisma, nie broniące specjalnie interesów ziemian. Zwrócono między innymi uwagę, że do wywłaszczenia przeznaczają się majątki nieobdłużone, doskonale zagospodarowane. Zapytywano, czy ziemia w Małopolsce wschodniej i na Wołyniu nie przejdzie w ręce obce (t. j. ukraińców lub żydów).

Przemówienie min. rolnictwa

Otóż jakby w obronie swojej polityki rolnej minister Poniatowski przed gronem dziennikarzy roztoczył obraz tego, co zrobiono i co zrobić zamierza. Głównym powodem parcelowania ziemi jest to, że mamy wieś przeludnioną. Przeludnienie na wsi trwać będzie dopóty, dopóki przemysł, rzemiosło i handel nie wchłoną przyrostu ludności, to znaczy około 450 tysięcy osób rocznie. W roku przyszłym rozparcelowane zostanie 120 tysięcy, gdy według prawa — powiedział minister — wolno rozparcelować 200 tysięcy. W województwach wschodnich rozparceluje się 20 tysięcy hektarów, przeniesie się tam bezrolnych z woj. krakowskiego. Średni obszar gospodarstw osadniczych wynosić będzie $9\frac{1}{2}$ hektarów; mniejsze ze względów społecznych są niepożądane. Wogóle od r. 1919 do 1935 r. utworzono 135 tysięcy gospodarstw, 63 tysiące parcel robotniczych i urzędniczych oraz 432 tys. parcel dodatkowych, uzupełniających karłowate gospodarstwa. Licząc po 6 osób na jedno gospodarstwo, 800 tysięcy osób otrzymało „stałe warsztaty pracy”. Średnie obszary (180 hektarów) dworskie, zgodnie z ustawą, nie będą wywłaszczane.

Parcelacja nie jest najważniejsza

Minister przyznaje, że parcelacja stanowić może tylko „uzupełnienie” prac nad „podniesieniem rolnictwa”. Do tego podniesienia potrzeba scalenia gruntów i melioracji. Do r. 1935 scalono wogóle 585 tysięcy gospodarstw (na obszarze 4 milionów hekt.). Scałić jeszcze trzeba około 6 milionów hekt. Poza tym rocznie odwadnia się około 60 tys. hektarów.

Większa własność dostarcza więcej zboża niż mała

Przeciwko twierdzeniu ministra, że mały rolnik najwięcej stosunkowo produkuje, wystąpił dziennik zachowawczy i wskazał, że większa własność, mając tylko 17,3% gruntów ornych rzuca na rynek 52% zboża i 19% produktów hodowlanych.

Kwestia przeludnienia a parcelacja

W Polsce zachodniej — piszą ziemianie — pracuje jedna rodzina (robotnicy rolni i t. d.) na 10—12 hektarów własności folwarcznej. Przez parcelację tedy i tworzenie osad 10-hektarowych przeludnienia się nie usunie.

Dwie sprawy: rolna i żydowska są dziś najżywniejsze w Polsce

Ale rozstrzygnie je miasto. Chłop musi mieć wyższą oświatę, nie tylko rolniczą, lecz także handlową i rzemieślniczą, by mógł (o ile brak mu gruntu) osiąść w mieście. Fabrykant zaś winien dostać od skarbu takie ulgi, by mu się umożliwiło lub opłaciło rozszerzyć fabrykę. I oto rząd przygotował ulgi dla fabryk, o czym jeszcze napiszemy. Co zaś do obecnej polityki rolnej, to może ona doznać zmiany na sposób niemiecki, o ile by się pogłoski sprawdziły, że poseł Lipski, przedstawiciel nasz w Niemczech, obejmie tekę rolnictwa.

Ochłodzenie

Sama jednak pogłoska, że poseł Lipski ustępuje, świadczyłaby, że stosunek Niemiec do nas nie rozwija się przyjaźnie. Poseł Lipski jest politykiem, który nad zbliżeniem polsko-niemieckim dużo się napracował. Poza tym słychać, że gdy Włochy są za udziałem Polski w nowych obradach mocarstw nad pokojem w Europie, to Niemcy są temu wręcz przeciwnie. Czemu? Wszak Niemcy głoszą tylko, że chcą łącznie z Włochami obronić Europę od bolszewizmu, a Polska z Rosją utrzymuje ozięble stosunki i walczy z komunizmem.

Interesy włoskie i niemieckie

Niemcy dążą koniecznie do podziału Europy: na zachodnią i wschodnią. W zachodniej Europie Anglia, Francja, Włochy i Niemcy poręczyłyby sobie wzajemnie granice. Wschodnia i środkowa

Europa byłaby pozostawiona na łasce Niemiec. W szczególności Rosja musi być odsunięta od spraw europejskich; tego żądają Niemcy bezwzględnie i na to bodaj że się godzą Włochy. Ale Włochy nie chcą być odepchnięte przez Niemcy od Dunaju i nie chcą, by między Italią a Niemcami hitlerowskimi była wspólna granica.

Niemcy za bytności hr. Ciano, zięcia Mussoliniego, u Hitlera uznały cesarstwo włoskie w Abisynii i za to uznanie musiały coś od Włoch otrzymać, ale co, nikt nic pewnego nie wie.

O całość Hiszpanii

Niemcy i Włochy zapewniły, że uszanują całość Hiszpanii. To znaczy, że Włochy nie zajmą wysp Balearskich (niedaleko Barcelony), a Niemcy nie osiadać w Maroku hiszpańskim. To zapewnienie ma uspokoić Anglię i zjednać ją dla polityki przeciwsowieckiej. W tej chwili Anglia niechętnie patrzy na jawną pomoc sowiecką, udzielaną Hiszpanii. Sowiety złamały przyrzeczenie, iż nie będą Hiszpanii pomagać, i ślą jej broń i ludzi. Wywołało to zerwanie stosunków między Portugalią a Hiszpanią czerwoną.

W 15-ym tygodniu wojny

powstańcy znowu się zbliżyli do Madrytu. Włoska rządowa w sile 80 tysięcy postanowiły się bronić pod murami stolicy. A nawet przeszły do przeciwnatarcia, ale bezskutecznie. Powstańcy zwyżają swoim uderzają na jakąś miejscowość, obsadzają ją, umacniają i — nie dają się już wyprzeć. Czynią to z możliwie najmniejszą utratą sił, gdyż rezerwy mają słabe. A wojna toczyć się może aż do wiosny.

Prawie każdy dom,

każda rodzina posiada u siebie jakieś zwierzątko domowe. Obojętnie, czy to będzie kot, czy pies, rasowy czy kundel; przywiąże się do domowników, stanie się ich wiernym przyjacielem i towarzyszem zabaw.

Jakże często ludzie dorosli wracając od pracy zmęczeni, odpoczywają przy beztrudnej zabawie z kotkiem lub psem. Nie mówiąc już o dzieciach, które przepadają za swymi czworonożnymi towarzyszami. Jednak w czasie choćby najmilszej zabawy nie możemy zapominać, że kot albo pies jest roznosicielem bardzo groźnych zarazków, które znajdują się u niego, bądź to na sierści bądź to w pysku. Z tego więc powodu należy bardzo uważać na zabawę dzieci ze zwierzętami. Dzieci bowiem często, bawiąc się głaszczą zwierzęta, a później biorą do ust paluszki, wprowadzając tym samym zarazki do organizmu.

Albo cóż to za radość dla dziecka, gdy mu pies albo kot wylizuje twarzyczkę. A skutek tego? Różnego rodzaju wyrzuty na twarzy i trudno wyleczalne liszaje. A przecież ten mały pies lub kotek, mógł przed chwilą wachać różne nieczystości, lub być po zjedzeniu myszy lub szczura, które jak wiadomo są roznosicielami dżumy i wielu groźnych chorób. Zakażenie się od zwierząt najzwyczajniejszymi robakami,



może nastąpić bardzo łatwo w wypadku, jaki przedstawiony jest na powyżej umieszczonym obrazku. Gdy bowiem pozwalamy zwierzętom siedzieć na stole, a co gorzej zjadać resztki z naszych talerzy, wówczas to w każdej chwili możemy być narażeni na choroby.

W następstwie takiej błahej przyczyny, jak złe umyty talerz, ileż przykrości w związku z chorobą, w związku z wprowadzeniem robaków do organizmu! Dlatego też, mając psa lub kota w domu, trzeba mieć osobne dla niego naczynie, a samemu uważać, aby po każdej z nim zabawie myć ręce.

Odpowiedzi udzielać będziemy tylko tym, którzy nadesłali znaczek pocztowy.

Do naszych abonentów pocztowych! Tylko do 10. XI b. r.

przyjmują listowi zlecenia na abonament pocztowy na miesiąc listopad.

Prosimy zgłosić się odwrotnie do listonosza,

który za kwittem pocztowym zainkasuje prenumeratę zł 0,80 na miesiąc.

Pod opaską z Administracji miesięcznie również 0,80 zł, kwartalnie 2,40 zł.

Adoracje N. S.

8. Kępno. 9. Myjomic. 10. Olszowa. 11. Opatów. 12. Siemianice. 13. Słupia p. Kępno. 14. Trzcianca.

Dnia 26 listopada odbędzie się w Gnieźnie egzamin kandydatów organizatorkich. Zgłoszenia należy kierować do org. katedralnego p. Barczyńskiego, Kolegiaty.

Odpowiedzi Redakcji

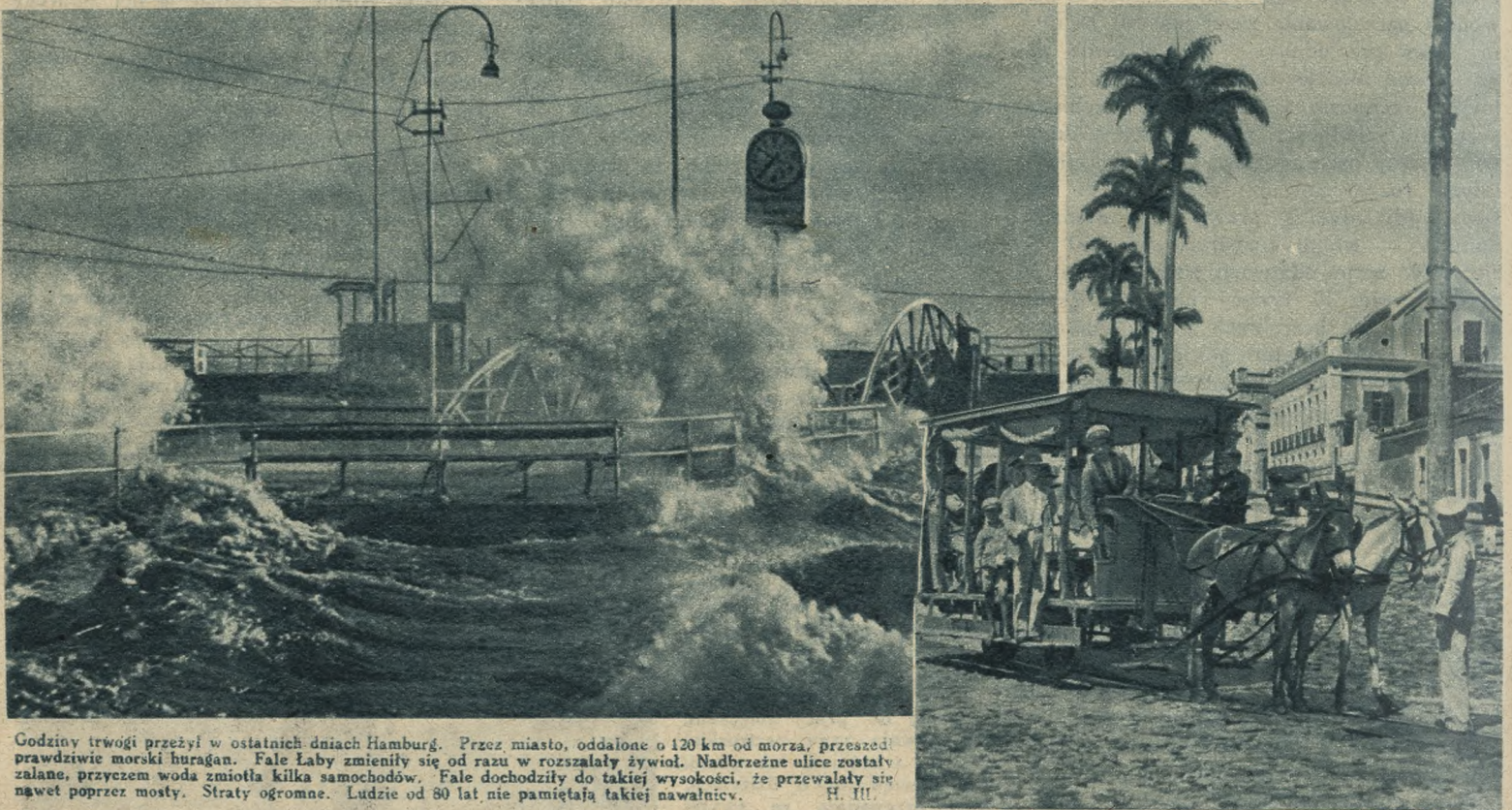
WP. K1. Domaradzka, Włocławek. Niestety, nie możemy spełnić prośby, ponieważ wspomnień pośmiertnych tego rodzaju nie umieszczamy.



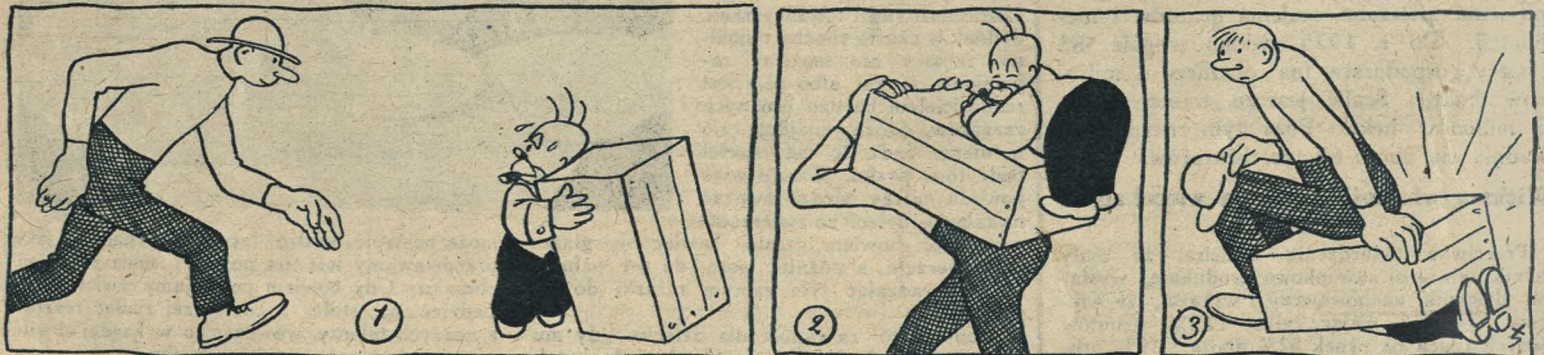
Obok:

W święto Chrystusa - Króla
Poznań manifestował swe
uczucia katolickie u stóp
Pomnika
Wdzięczności.
Fot. Kaczor

Poniżej:
Osli tramwaj jeździ po dziś
dzień na ulicach małego
brazylijskiego portu Para-
nagua.
Atlantic.



Godziny trwogi przeżył w ostatnich dniach Hamburg. Przez miasto, oddalone o 120 km od morza, przeszedł prawdziwie morski huragan. Fale Łaby zmieniły się od razu w rozszalały żywioł. Nadbrzeżne ulice zostały zalane, przyczem woda zmiotła kilka samochodów. Fale dochodziły do takiej wysokości, że przewały się nawet poprzez mosty. Straty ogromne. Ludzie od 80 lat nie pamiętają takiej nawałnicy. H. III.



PRZECHYTRZYŁEM SPRAWĘ

Pot mi leje się z czoła,
Skrzyni unieść nie zdołam,
Dalej kroku nie ujdę — ni rusz.
Aż tu pomoc przybywa;
Chłop — jak olbrzym porywa.
Moja skrzynię na plecy — i już.

Chytra myśl mi przychodzi:
Co takiemu to szkodzi,
Ze do skrzyni przyzepeję się — no?
Ten przybytek na wadze
Ujdzie jego uwadze —
Pomyślano — zrobiono i — wio!

Ale odwet był srogi.
Chytrność słabe ma nogi,
Gdybym wleździł, co będzie... hej, hej!
Gdy zmęczyło go brzemie,
Chłop je rzucił na ziemię,
Stąd na skrzyni i na mnie — o je!

„PRZEWODNIK KATOLICKI” ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK” oraz z osobnymi działami „ROLA I OGROD” i „SPRAWY KOBIECE”.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobiste odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.70 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.40 zł, od 10 do 59 egz. po 2.20 zł, od 60 egz. wzwyż po 1.90 zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2.30 zł, miesięczna 80 groszy, łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki”.

W sprawach dotyczących rękopisów i w sprawach redakcyjnych prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego” w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: Władysław K. Sosnowski w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta”.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.